

M. J. 23
BIBLIOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH

Nr. 108.

„ACH TO ZAKOPANE!!“

KROTOCHWILA W 3 AKTACH

ADOLFA WALEWSKIEGO.



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

1908

Am. 2-

Komputer:

OSOBY:

JAN KAZIMIERZ KRZEPTOWSKI
 APOLONIA, jego żona
 FELICYA } ich córki
 WACIA }
 PANKRACY MACZYŃSKI, brat
 Apolonii
 Dr. ROMAN MACZYŃSKI, jego syn
 SZAROTKA, taternik
 JAN OKSZA, literat

POLANKA, redaktor Jutrzenki
 STARY GAŚIENICA
 WOJTEK GAŚIENICA
 KASIA, wychowanka Gąsienicy
 PASTUSZEK
 FLORA, aktorka
 FOTOGRAF
 BENEDYKT } służba u Krzept.
 MARYNIA }

PANOWIE — PANIE — POSŁAŃCY — TURYSĆI.

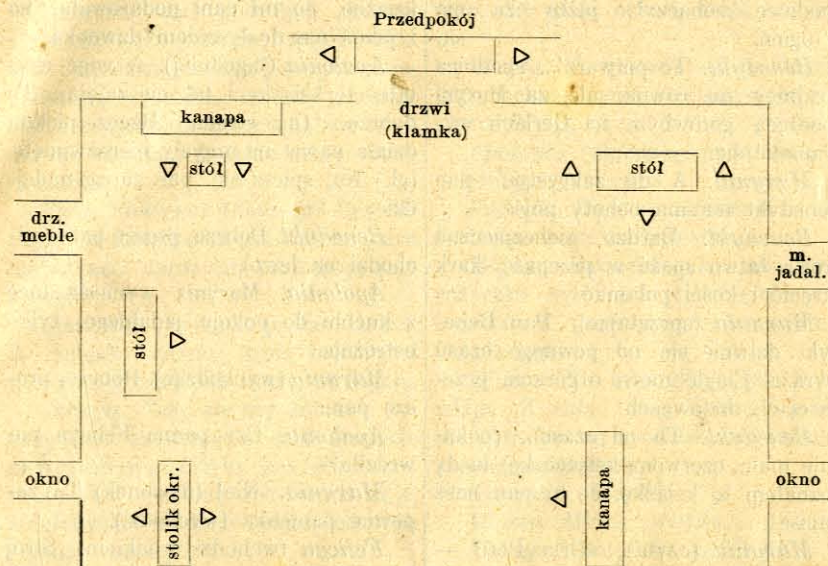
Rzecz dzieje się w małym mieście koło Krakowa i w Zakopanem.



FUW0128777

K182/81/133843

Dekoracja I. i III. aktu.



AKT I.

Mieszkanie wytworne, z prawej i lewej drzwi. W głębi główne wejście. Z frontu w artystycznym nieładzie rozmaite przyrządy służące do spina-
 nia się po górach. Na ścianach obrazy przedstawiające sceny z życia
 w górach.

SCENA I.

Benedykt — Marynia.

Benedykt (czyta z czerwono oprawnej książki gestykulując). Nareszcie stanąłem na Gerlachu. Jak orzeł zawisłem na 2.200 metrów nad poziomem morza. Sam byłem w myślami moimi i wsłuchiwałem się w potężne odgłosy dzikiej natury.

Marynia (wchodzi). A tobie co się stało?

Benedykt. Wokoło mnie lodowce, turnie i przepaści.

Marynia. Lepiejbyś mi pomógł

uprzątnąć pokój, zanim pani nadejdzie (sprząta).

Benedykt. Porządki nie mnie nie obchodzą (wskazując na pokój). »Schronisko« już posprzątań. Turysci mogą się schodzić.

Marynia. Dziś 50-ta rocznica urodzin naszego pana, — będziemy mieli dużo gości.

Benedykt. I koby pomyślał, że nasz stary już 50 lat przeżył? ha! Choć prawdę mówiąc, kto jeździ do Zakopanego przez tyle lat, ten nigdy się nie starzeje (chce ją objąć).

Marynia (wrywa się). O... o...

tylko żadnych takich... Benedykt byle spodnicę zobaczył jużby za nią w ogień.

Benedykt. To potwarz!... spodnica spodnicy nie równa, ale za Maryni spodnicą gotówbym na Gerlach wygramolić się.

Marynia. A do zakrystyi? pan Benedykt nie ma ochoty pójść.

Benedykt. Bardzo niebezpieczna droga, łatwo spaść w przepaść, kark skreślić i kości połamać.

Marynia (sprzątając). Pan Benedykt dziwnie się od pewnego czasu wyraża. Ciągłe mówi o górach, przepaściach, lodowcach.

Benedykt. To od czasu... (pokazuje małą, czerwoną książeczkę) kiedy poznałem tę książkę, co to pan nasz napisał.

Marynia (czyta). »Orla Perć — wrażenia z gór, przez Jana Kazimierza Krzeptowskiego«. To nasz pan tak sławnie chodzi po górach?

Benedykt. Chodzi?! On nie chodzi, ale jak ptak pływa w chmurach. Ani Roj, ani Bachleđa tak nie chodzą.

Marynia. Tam w górach musi być bardzo ładnie... ach... gdybym ja mogła wybrać się do Zakopanego kiedy.

Benedykt (całuje). Jak tylko Marynia będzie grzeczna, pojedziemy w najbliższą niedzielę. — Zgoda, co? (całuje ją, — dzwonek).

SCENA II.

Ciż. — *Apolonia.* — *Felicja.*

Apolonia. Cóż to pogłuchliście? (sposztrzegła) A to co takiego?

Marynia (wyrwała się). To proszę pani...

Benedykt. Ja... opowiadałem Ma-

ryni, jakie to śliczne historye są w tej książce, co mi pani podarowała, no i jakoś nie dosłyszałem dzwonka.

Apolonia (łagodniej). A więc czytałeś tę książkę i tak cię zajęła... To dobrze... (na stronie) Rzecz piękna działa nawet na umysły nierozwinięte. (gł.) No, spiesz się, pan zaraz nadzieje.

Benedykt. Dobrze, proszę pani (odchodzi na lewo).

Apolonia. Marynia wyniesie tacę z kuchni do pokoju jadalnego, tylko ostrożnie.

Marynia (wychodząc). Dobrze, proszę pani.

Apolonia. Czy panna Felicja powróciła?

Marynia. Nie! (dzwonek) To zapewne panienka (wychodzi).

Felicja (wchodzi środkiem). Strój kobiecy, tak zwany zreformowany, lub też ubranie używane do jazdy na kole. Mężki kapelusz, lub czapeczka, stojący kołnierzyk, maniery emancypowanej studentki — mimo to jednak wiele wdzięku kobiecego. Przesadne udawanie mężczyzny powinno wywierać komiczne, ale nie odrażające wrażenie. — Papieros w ustach, laska w rękę. Servus!

Apolonia (z wyrzutem). Fela, bójże się Boga, gdzież ty siedzisz tak długo. Idźże się przebrać, gości tylko co nie widać.

Fela (zdziwiona). Ja miałabym przebrać się (wzrusza ramionami). Wiesz mamó dobrze, że nie mam zamiaru podobania się nikomu.

Apolonia. Fela!

Fela. Mama sądzi, że wielkie szczęście spadnie na mnie, jeśli pan Szarotka powie, nota bene przez nos (naśladując): Panno Felicjo wyglądasz pani zachwycająco.

Apolonia. Nie o tem mówię! Wszakże święcimy dziś podwójną uroczystość, nie tylko urodziny twojego ojca, lecz i uczczenie zasług jego, jako znakomitego taternika, co już przestaje być uroczystością domową, lecz obejmować powinno szerokie masy społeczeństwa.

Fela. Powinno? Dlaczego? Czy dla tego, że cokolwiekbądź zrobi jeden mężczyzna, zaraz inni roztrzębują jego sławę.

Apolonia (porządkuje na biurku). A jednak, mimo tego, mężczyźni w wielu wypadkach nam podlegają.

Felicja. Tak, ale my kobiety, dobrowolnie zabijamy w sobie uczucie niepodległości. Gdyby nas wychowywano tak, jak się ich wychowuje, mogłybyśmy zdziałać więcej od tych tyranów naszej płci.

Apolonia. Ty jesteś najlepszym dowodem takiego męskiego wychowania.

Fela. Moja mamó, że umiem po łacinie i po grecku — to jeszcze za mało dla mnie. Ja pragnę wysoko podnieść sztandar nowego wychowania, i dla tej idei gotowa jestem ponieść wszelkie ustępstwa mojego apostołstwa.

SCENA III.

Dawni. — *Wacia.*

Wacia (wchodzi z prawej, wielki bukiet róż, białe ubranie). Dzień dobry, Fela, jakże mogłaś tak się ubrać na dzisiejszą uroczystość.

Apolonia. Dajże pokój! Wiesz przecie, że Fela pogardza całym męzkim rodem, nawet ojciec jej...

Wacia. Radabym wiedzieć, co jej złego mężczyźni uczynili?

Felicja. Ty tego pojąć nie zdolna,

bo oceniasz mężczyzn, tylko wedle tego, czy mają ochotę żenić się, lub nie.

Wacia. To prawda — ci, którzy mają ochotę żenić się, najwięcej mi się podobają.

Apolonia (układając podarunki, upominająco). Waciu!

Felicja. Typowy egzemplarz do tychczasowego wychowania.

Wacia. Patrzcie, taka przekwitła różyczka mówi o wychowaniu.

Felicja (wzruszając ramionami). Głupia gęś.

Wacia. Nie taka głupia jak ci się zdaje. Z całą twoją łaciną i greką nie potrafisz się spodobać najmarniejszemu mężczyźnie.

Apolonia. Waciu!

Waciu. Mówię prawdę.

Felicja. Lituję się nad tobą.

Wacia. Gwiżdżę na twoją litość.

Apolonia. Dzieci! dzieci! Dziś przynajmniej w dniu tak uroczystym zaprzestańcie tych kłótni. Wyszukowałam dla ojca niesłuchaną niespodziankę.

Wacia. Cóż takiego?

Apolonia (dobywa z kieszeni małą, czerwono oprawną książkę — podobną jak miał Benedykt). Oto jest.

Wacia. Książka?

Fela. Książka, nareszcie jeden dobry pomysł.

Apolonia. Ale jaka książka, czytaj: »Orla Perć — wrażenia z gór, Jana Kazimierza Krzeptowskiego.

Felicja. To ojciec napisał? Kiedy?

Apolonia. Zeszłego roku podczas swego pobytu w Zakopanem, pisywał do nas przesłiczne, wzruszające listy.

Wacia. Któreśmy z takim zajęciem odczytywały.

Apolonia. Otóż zebrałam te listy razem i dałam wydrukować.

Wacia (uderza w ręce). Wspaniały pomysł.

Apolonia. Ale to jeszcze nie wszystko. Wiecie, że te wycieczki odbywał ojciec w towarzystwie dwóch przewodników: starego Gąsienicy i Wójtki jego syna.

Wacia. O których często w swoich listach wspomina.

Apolonia. Zaprosiłam obydwu do nas, aby obecnością swą uświetnili tę uroczystość.

Wacia (ściska matkę). Kochana mamusia o wszystkim pamiętała.

SCENA IV.

Też. — *Marynia*. — *Pankracy*.

Marynia (wchodzi środkiem — na dużej tacy wnosi zrobioną sposobem cukierniczym dużą skatę, stawia na stole). Od cukiernika (wychodzi środkiem).

Wacia. Wspaniałe! To pewnie Ge-wont z cukru i czekolady, można się zająć na śmierć! A co to za komi-czne figury.

Apolonia (z dumą). To Gerlach, zrobiony ściśle wedle mego opisu. Ojciec z przewodnikami wdziera się na szczyt Gerlachu; na szczycie bo-ginka gór węcza im wieniec z sza-rotek.

Fela. Ha, ha, ha! Ojciec z marce-panu i czekolady — istotnie słodkie wspomnienie z Zakopanego.

Wacia. Podezsa wręczania tego tortu, powiem: Papeczko, tak cię ko-cham, żebym cię zjadła z ochotą, jak ten tort (chce urwać kawałek).

Apolonia. Zastanów się! co czy-nisz!

Wacia. Chciałam tylko uskubnąć szczyt Gerlachu.

Felicya. Geś, bez krzty zastano-wienia.

Wacia. I ty mądralo w moim wieku nie wiele musiałaś być mą-drzejsza.

Felicya. Doprawdy, z każdym dniem stajesz się nieznośniejszą — ostatni już czas, abys poszukała sobie męża, któryby cię wychowywać zaczął. Bie-dak, żal mi go będzie prawdziwie.

Wacia. A ja twój żałować nie będę mogła, bo go nie dostaniesz wcale.

Felicya. Co?

Apolonia. Na miłość Boską, prze-stańcie! (dzwonek) To... zapewne go-scie.

Marynia. Pan Mączyński. (zamel-dowała i odeszła).

Pankracy (stary, poczciwy wuja-szek, trochę postrzelony i roztrze-pany). Dzień dobry — jak się macie. Oj, jakże się zmęczyłem (siada).

Apolonia (żywo). No... a górale?

Pankracy. Po całym peronie szu-kałem i nie znalazłem. Gdyby tylko byli, z pewnością byłbym nie prze-słąpił.

Apolonia. W takim razie przybędą następnym pociągiem, ale to dziwne wszak wyraźnie napisałam, że teraz w sezonie letnim można wyjechać z Zakopanego o dziewiętej rano.

Pankracy. O dziewiętej wyjechali, a ja sądziłem, że jak zwykle o 4-tej rano wyjadą — więc wcześniej przy-szedłem na dworzec (wstaje).

Wacia. Nic dziwnego, żeście się nie widzieli.

Felicya. Ej wujaszku, wujaszku... co też w twej poczciwej głowie się mieści?

Pankracy. Po odpowiedź odeszłe cię do mego syna, Romana, który tu zapewne niedługo nadejdzie.

Felicya. Pan doktor wcale mi nie zaimponuje.

Apolonia. Więc przewodników mo-zemy się spodziewać lada chwila — adres podałam dokładny. Gdy przy-będą, przeprowadź ich zaraz do mego pokoju, mam jeszcze dużo do roboty (odchodzi na prawo).

Wacia. Pójdę z mamusią — do widzenia wujaszku (za matką).

Pankracy. Panna Felicya z pe-wnością nie pójdzie do gospodarstwa, to nie miejsce dla uczonych panien.

Felicya. Pójdę do moich książek, aby się przygotować na pytania pana doktora, bo nie chcę się rumienić po staropolsku, jak naiwne bohaterki Sienkiewicza.

Pankracy. A więc nie ma takiego mężczyzny, któryby się podobał to-bie?

Felicya. Ty mi się wujaszku po-dobasz.

Pankracy. Ja... a to czemu?

Felicya. Bo tacy jak ty, ułatwiają nam walkę z rodem męzkim (ze śmie-chem wybiega na prawo).

Pankracy (nie rozumiał). Walkę z rodem męzkim? Mówiąc z tą dzie-wczyną, nigdy nie wiem, czy to po-chwała, czy kpiny.

SCENA V.

Pankracy. — *Krzeptowski*.

Krzeptowski (lat 50, wybornie wygląda, jowialny, światowe ułożenie). Dzień dobry, szwagierku!

Pankracy. Chwała Bogu, że jesteś, i że pierwszy mogę ci złożyć moje serdeczne życzenia... życzę ci... abyś... to jest... e... zresztą...

Krzeptowski. Daj pokój, nie natę-zaj się, (uścisk ręki) wiem i bez tego,

że mi dobrze życzysz, i że jeszcze kopę lat...

Pankracy. Kilka kop... dużo kop...

Krzeptowski. Pięćdziesiątka, to poważna cyfra, co?

Pankracy. Której by się nikt nie domyślił po tobie.

Krzeptowski. Istotnie, oprócz kilku siwych włosów gdzieniegdzie... co?... Ba, ale one ostrzegają mnie, że na-leżałoby mieć rozum, że już czas...

Pankracy. Używaj świata, póki służą lata.

Krzeptowski. To też go używałem jak mogłem, nieraz nawet wyrzucam sobie, że może używałem za dużo.

Pankracy. Ja zawsze pojąć nie mogłem, że tak dobrze udawało się tobie — niechbym ja kiedy bryknął, dałaby mi moja stara.

Krzeptowski. Byłem przezorniej-szy od ciebie, na przykład moje wy-cieczki do Zakopanego.

Pankracy. Że ty byłeś na Gerla-chu, na Orlej Perci, tego pojąć nie mogę, wiem przecież, że od dziecka cierpiałeś na zawroty głowy.

Krzeptowski. I dziś jeszcze cier-pię, co?... nawet to cierpienie wzmaga się z wiekiem.

Pankracy. Nie rozumiem — więc jakże dostajesz się na najwyższe, za-wrotne szczyty gór.

Krzeptowski. Właśnie te zawrotne szczyty, to zawracanie głowy mojej żonie.

Pankracy (zglupiał). Zawracanie — nie rozumiem. (siada, nagle się do-myślił) O gdyby tak dowiedziała się o tem twoja żona.

Krzeptowski. Najpierw się nie dowie — co? — powtóre, to własna jej wina.

Pankracy. Wina twojej żony?

Krzeptowski. Niezawodnie, wiesz

przecie, że miała pójść za znakomitego literata, a gdy ten znakomity literat umarł, a myśmy się poznali i poženili — dręczyła mnie bezustannie, że nie jestem człowiekiem dość inteligentnym, uduchowionym, że nie posiadam talentu odznaczenia się czemkolwiek. To mi nasunęło myśl odbywania najbardziej szalonych wypraw w Zakopanem, ale tylko na papierze.

Pankracy (zadziwiony). Zatem te listy, które co tydzień pisywałeś do rodziny, które budziły taki zachwyt i podziwienie...

Krzeptowski. Żywcem odpisywałem z przewodnika do Tatr.

Pankracy. Więc ty nigdy nie byłeś w Zakopanem.

Krzeptowski. Niebyłem. Zakopane podziwiam, ale zdaleka — czas ten wolałem spędzić w Warszawie, gdzie w kołach artystyczno-literackich bawiłem się doskonale.

Pankracy. Wyborny pomysł! Ja nie miałbym odwagi. Obawa odkrycia wszystkiego, zatruwałaby mi każdą chwilę zabawy.

Krzeptowski. I temu się jakoś poradziło. Mój przyjaciel malarz Curuś, przedstawił mnie ogólnikowo, jako pana dyrektora rozmaitym artystkom. A że aktorkom koniecznie się widziało, że ja muszę być dyrektorem teatru, to już nie moja wina. Co? — Warto było widzieć jak się ubiegały o moje względy, a już najbardziej pewna panna Flora. Wszystkim obiecałem angagement.

Pankracy. Ty dyrektorem teatru, to bajeczne — ha, ha, ha... ej łobuz z ciebie szwagierku.

Krzeptowski. To już tak na zamknięcie wszystkich moich szaleństw.

Pankracy. A gdyby się tak wydarło przypadkiem.

Krzeptowski. Co? Nieńa obawy.

Pankracy. Tem lepiej — ale — ale, zagadałem się, zamiast oczekiwać przewodników na dworcu (nagle) Jezus Maryja.

Krzeptowski. Co takiego?

Pankracy. To, czego się nie spodziewałeś (załamuje ręce z rozpaczny).

Krzeptowski. Mówże do dyabła.

Pankracy (jęczy). Wszystko się wykryje.

Krzeptowski. Co się wykryje?

Pankracy. Wszystko! Górali tylko co nie widać.

Krzeptowski. A cóż mnie twoi górale obchodzą.

Pankracy. Ale ty znasz ich obu.

Krzeptowski. Co? Nigdy ich nie widziałem.

Pankracy. Wszak to są ci dwaj sławni przewodnicy — stary Gąsienica i syn jego Wojtek, którzy ci towarzyszyli w najbardziej niebezpiecznych wyprawach.

Krzeptowski. Więc cóż?

Pankracy. W twoich wrażeniach podróży poświęciłeś im tyle miejsca.

Krzeptowski (teraz dopiero zrozumiał o co chodzi, pada na krzesło). Co? Gąsienice tu przyjadą? (zrywa się). Ależ oni mnie nie znają — nigdy mnie nie widzieli.

Pankracy. Twoja żona ich sprwadziła tutaj, aby uświetnić dzisiejszą uroczystość i sprawić ci niespodziankę.

Krzeptowski (pada na krzesło). Miła niespodzianka! Oszaleć można (zrywa się). Nie, to niepodobna, to być nie może. Ja ich tu nie wpuszczę. Słuchaj! Stań przy drzwiach, zastąp im drogę, rozkracz się, rozkrzyżuj — daj w łapę co chcesz — daj ile sami zechcą — ale nie puszczaj!

(wchodzi *Apolonia* z ciupaga). Cicho, moja żona.

Krzeptowski (pada na krzesło). Miła niespodzianka! Oszaleć można (zrywa się). Nie, to niepodobna, to być nie może. Ja ich tu nie wpuszczę. Słuchaj! Stań przy drzwiach, zastąp im drogę, rozkracz się, rozkrzyżuj — daj w łapę co chcesz — daj ile sami zechcą — ale nie puszczaj!

(wchodzi *Apolonia* z ciupaga). Cicho, moja żona.

Krzeptowski (pada na krzesło). Miła niespodzianka! Oszaleć można (zrywa się). Nie, to niepodobna, to być nie może. Ja ich tu nie wpuszczę. Słuchaj! Stań przy drzwiach, zastąp im drogę, rozkracz się, rozkrzyżuj — daj w łapę co chcesz — daj ile sami zechcą — ale nie puszczaj!

(wchodzi *Apolonia* z ciupaga). Cicho, moja żona.

Krzeptowski (pada na krzesło). Miła niespodzianka! Oszaleć można (zrywa się). Nie, to niepodobna, to być nie może. Ja ich tu nie wpuszczę. Słuchaj! Stań przy drzwiach, zastąp im drogę, rozkracz się, rozkrzyżuj — daj w łapę co chcesz — daj ile sami zechcą — ale nie puszczaj!

(wchodzi *Apolonia* z ciupaga). Cicho, moja żona.

SCENA VI.

Dawni. — *Apolonia*, *Wacia*, *Fela*.

Apolonia (z zamachem). Janie Kazimierzu! Dzień dzisiejszy jest najpiękniejszym dniem mojego życia. Jestem dumna, że mogę być żoną takiego męża, który tyle razy parażał życie swoje dla sławy i ogólnego dobra.

(*Pankracy* — aby ukryć pomieszanie — skrobie się w nos. *Krzeptowski* gestem stara się go uspokoić).

Apolonia. Z całą szczerością i przekonaniem składam ci dzisiaj mój drogi, moje najserdeczniejsze życzenia — tobie mój mężu — nieustraszony bohaterze.

Krzeptowski. O, moja droga (całując się).

Apolonia. Oto skromny upominek, sama wypalałam (wręcza mu ciupagę).

Krzeptowski (odczytuje). »Wielkiemu turyście — Wielka ciupaga!« Bardzo ładna, — dziękuję, serdecznie dziękuję. (n. s.) To już dziesiąta ciupaga (dając ją *Pankracemu*, upuszcza mu na nogę).

Pankracy. Au!

Wacia (wręczając mu serdak z kopiański). Oto skromna pamiątka odemnie. Sama haftowałam ten napis.

Krzeptowski. Ah... (odczytuje napis) »Drogiemu, nieustraszonemu turyście!« Prześliczny, zachwycający serdak. Serdecznie dziękuję ci moje dziecko. (no str.) To już dwunasty serdak, mógłbym magazyn otworzyć (wręcza go *Pankracemu*). A ty moja pociecho najmilsza?

Fela (występuje). Pater meus gratulor tibi ex intimo animo.

Krzeptowski. Amen.

Apolonia. Janie Kazimierzu, jeszcze nie amen.

Felicja. Tu illustrissime montis accensor... tu... tu... tu!..

Krzeptowski. Bardzo, bardzo ładnie — istotnie bardzo ładnie — nie rozumiałem co prawda ani słowa.

Felicja (z przekąsem). A możebyś ty wolał papeczko, bym ci wyhaftowała parę pantofli z szarotką.

Krzeptowski. Ależ nie — ten pancerz po łacinie stanowczo lepiej mi się podobał.

Fela. Na zakończenie schowała mamusia najpiękniejszą i największą niespodziankę.

Krzeptowski (ze strachem). Jeszcze niespodziankę.

Wacia. I jaką jeszcze.

Krzeptowski (n. str.). Oj, czegoś się lękam.

Apolonia (wręczając książeczkę). I oto jest ten najważniejszy podarunek na urodziny.

Krzeptowski (ledwie spojrzął). Nowe dzieło o turystyce w górach? — Moja droga, doprawdy sam nie wiem jak ci dziękować (całując ją w czoło).

Wacia. Ależ niech papeczka przeczyta.

Krzeptowski. Później, później moja droga, mam czas.

Fela. Przynajmniej tytuł tylko.

Krzeptowski. Dobrze! (czyta) »Orla Percé. — Wrażenia z gór Jana Kazimierza Krzeptowskiego«. (przerażony do najwyższego stopnia) Co?... na miłosierdzie boskie... więc ty moje listy...

Apolonia. Kazałam wydrukować.

Wacia. Aby ci sprawić niespodziankę papeczko!

Krzeptowski (śmieje się z przymusem). To mi niespodzianka.

Fela. Mamusia postarała się też o odpowiednie wzmianki i reklamę w gazecie, wychodzącej w naszym mieście.

Krzeptowski. Coooo?

Apolonia. Eh, co ona tam plecie... widzisz, zawsze należy trochę dopomódz opinii publicznej. Rozesłałam tylko po jednym egzemplarzu wszystkim naszym znajomym z prośbą, aby się postarali o kilka słów wzmianki w owej »Jutrzence«.

Krzeptowski (trochę się opanował, ale zawsze jeszcze zły). Aby się zaraz cały świat dowiedział.

Apolonia. Moznaby sądzić, że nie bardzo się tem ucieszyłeś.

Krzeptowski. Ależ nie — nie moja droga, tylko listy te jako wyłącznie przeznaczone dla ciebie, nie nadawały się do publicznego ogłaszania drukiem i to mi jest trochę niemiłe.

Apolonia. A jednak tyle w nich piękności, tyle czaru, tyle polotu i prawdziwej poezji, że nie należało trzymać ich w ukryciu... O, bo ty jesteś prawdziwym poetą, chociaż o tem nie wiedziałeś.

Krzeptowski (krótko). Nie wiedziałem.

SCENA VII.

Dawni. — *Benedykt, Polanka.*

Benedykt (wchodzi środkiem, niosąc list na tacy). Ten pan pragnie złożyć swoje uszanowanie.

Krzeptowski (czyta). Józef Polanka, redaktor »Jutrzenki«.

Apolonia. Ach... jaki łaskaw.

Wacia. Papeczko, stałeś się sławnym.

Fela (n. s.). Nie, to nie do wiary, jak ci mężczyźni komplementują się nawzajem.

Krzeptowski. Cóż mam czynić?

Apolonia. Naturalnie prosić. (do Benedykta) Proś, proś bardzo uprzejmie.

Krzeptowski (z passyą). Bardzo uprzejmie.

Polanka (mały, ruchliwy człowieczek — okulary — ciągle zajęty, elegancki). A... spotykam solenizanta w gronie jego przezacnej rodziny. Mam zaszczyt się przedstawić Józef Polanka, redaktor »Jutrzenki« i złożyć moje najserdeczniejsze życzenia jako człowiek, współobywatel i dziennikarz.

Krzeptowski. Nieskończenie wdzięczny jestem panie redaktorze, aczkolwiek mieliśmy zamiar obchód ten ograniczyć do najbliższej rodziny.

Polanka. Co jednak po ukazaniu się pańskiej książki stało się niemożliwością. W tej chwili osoba szanownego pana należy już do szerokiej publiczności, a temże samem i do naszej »Jutrzenki«, a zanim damy szerokie i wyczerpujące sprawozdanie o książce, pozwoli mi szanowny pan zapytać o kilka szczegółów (wyciąga notatkę). Niech pan będzie łaskawymnie przedstawić.

Krzeptowski. To moja żona.

Polanka (notując). Wierna i oddana małżonka, osuszająca pot z czoła nieustraszonego podróżnika.

Apolonia (zadowolona). Ach, panie redaktorze!

Krzeptowski. Oto moje córki, Wacia i Felicya.

Polanka. Westalki ogniska domowego, barwne motyle — lilia z Koziego wirchu i szarotka z Gerlachu.

Wacia (na str.). Śliczne porównanie — lilja to zapewne ja.

Felicya. Nie, ja z pewnością.

Apolonia. Moja córka jest uczona.

Polanka. To bardzo zajmujące. A gdzie pani studjuje?

Felicya. W Baraneum.

Polanka. Ach... a jaki przedmiot?

Felicya. Psychologie, propedeutykę filozoficzną.

Polanka. Ah, to bardzo zajmujące. (do Pankracego) A pan?

Pankracy. Ja nie studuję już niczego.

Polanka. Ha, ha! byłem tego pewien, pan zapewne wujaszek, huśtający działwę na kolanach.

Krzeptowski. Mój szwagier, Pankracy Mączyński.

Polanka. To bardzo zajmujące. (notuje) Państwo pozwolą (idzie do biurka) Pracownia... stół jak u dyplomaty — styl czysto zakopiański. Pan używa piór aluminium i ołówków Kohinor — to bardzo zajmujące. Jako ciężarek, odłam granitu z Gerlachu. Czy pan pali?

Krzeptowski. Tak.

Polanka. Cygara czy papierosy?

Krzeptowski. Papierosy.

Polanka. To bardzo zajmujące. Czy ma pan jakie osobliwe właściwości przy pisanu?

Krzeptowski. Nie wiem o żadnej.

Fela (drwiąco). Owszem — pisząc zakłada papa prawą nogę na lewą.

Polanka. To bardzo zajmujące. Skończyłem (zamyka notatkę). Nasz fotograf nadejdzie za chwilę. Będzie kilka zdjęć: Jan Kazimierz Krzeptowski w gronie swej rodziny. Jan Kazimierz Krzeptowski wdzierający się na niedostępny szczyt Gerlachu.

Fela. Tu w pokoju?

Polanka. To już rzecz fotografa, niech pani będzie zupełnie spokojną.

Apolonia. Czy mogę pana prosić, szanowny panie redaktorze, na kieliszek wina i bułeczkę z kawiosem?

Polanka. Wobec tak serdecznych zaprosin (podaje jej ramię). Nie umiem państwu opowiedzieć, jak bardzo cieszę się z poznania tak czcigodnej ro-

dziny, i że mogę wypić za zdrowie jubilata (mówiąc to wychodzi z Apolonią i Wacią do jadalni).

Krzeptowski. Sam nie wiem, czy jeszcze żyje.

Felicya. To są skutki, gdy się jest sławnym (śmiejąc się wychodzi).

Krzeptowski. Chwała Bogu, że się już wynieśli. (do Pankracego błagając) Człowieku, bracie! przyjacielu ratuj! Goń natychmiast do księgarza i wykup cały nakład tej książki. — Każdy egzemplarz »Orlej perci« w obcym ręku, to moja kompromitacya.

Pankracy. Natychmiast spieszę — za godzinę powrócę już z książkami.

Krzeptowski. Tylko, na miłość boską, nie zmaluj znowu jakiego głupstwa.

Pankracy. Nie lękaj się, postąpię oględnie i dyplomatycznie. Do widzenia (wychodzi środkiem).

Krzeptowski. Grubo za to zapłacę, ale się przynajmniej pozbędę kłopotu. Co za straszne położenie. (spozstrzega na stole egzemplarz, który mu wręczyła żona). Oto namacalny dowód mojej zbrodni (chowa do kieszeni). A to sobie narobiłem.

SCENA VIII.

Krzeptowski. — *Benedykt.*

Benedykt (wchodzi z jadalni). Pani kazała prosić do jadalni.

Krzeptowski (n. str.). Właśnie teraz mogę myśleć o jedzeniu.

Benedykt. Przyszła właśnie deputacya filii Towarzystwa tatrzańskiego z naszego miasteczka.

Krzeptowski (przeżąc). Kto taki?

Benedykt. Pan Szarotka i dwóch panów.

Krzeptowski (na str.) Szarotka naprawdę sławny taternik — no —

z tym będzie trudna sprawa... (głośno) Zaraz! (gdy Benedykt nie odchodzi) Czego chcesz jeszcze.

Benedykt. Mam wielką prośbę do pana.

Krzeptowski. Co takiego?

Benedykt. Pani mi darowała »Orlą Peré«, co to pan napisał, więc chciałem pokornie prosić, ażeby pan podpisał własnoręcznie na książce swoje imię (wyjął książeczkę).

Krzeptowski (rzuca się). I ty zbrodniarzu masz chęć zamordowania mnie... (opamiętał się) Dobrze! dobrze... napiszę ci... dedykację, ale trochę później (chowa egzemplarz) Znów jeden egzemplarz uczyniłem nieszkodliwy.

Benedykt (wychodząc). Ale wielmożny pan nie zapomni.

Krzeptowski (znacząco). O... z pewnością niezapomnę... niezapomnę...

SCENA IX.

Krzeptowski, Apolonia, Szarotka, Dwóch panów, Polanka.

Szarotka (bardzo elegancki, w monoklu, wręcza Krzeptowskiemu dyplom). A!... oto i nasz czcigodny jubilat.

Krzeptowski. Ziemię rozstap się podemną.

Szarotka (w uroczystej pozie — *dwaj panowie* tuż za nim — namyśla się, zaczyna). Czcigodny Panie! Filia towarzystwa turystów w naszym mieście, w uznaniu twoich niezmiernych zasług, położonych dla naszego pięknego i szlachetnego sportu, na ostatnim swoim posiedzeniu, jednogłośnie zamianowała cię swoim członkiem honorowym, a mnie przypadł w udziale ten zaszczyt, że cię pierwszy o tem zawiadomić mogę.

Apolonia. Janie Kazmierzu, takie odszczególnienie...

Szarotka. Zarazem tutejsza sekcya nasza uchwaliła, aby cię uprosić do przejścia przez najbardziej niebezpieczną przełęcz, Mordege, przy czem cały nasz klub ma być obecnym.

Krzeptowski (na str.). Zamordowali mnie.

Apolonia. Takie odznaczenie... ach wiesz, serdecznie ci wieszczę mój mężu.

Polanka. Pozwól pan, że i ja, jako przedstawiciel dziennikarstwa... (ściska mu rękę).

Krzeptowski. Ależ panowie, moi panowie, jestem wprost przygnieciony tem zaszczytnem odznaczeniem.

Polanka. Cześć prawdziwej zastudze, zaraz o tem napiszę w »Jurtrence«.

Apolonia. A i ja z córkami tam będę, aby się przypatrzeć twojemu tryumfowi. Janie Kazmierzu, ty musisz się czuć bardzo szczęśliwym.

Krzeptowski. Co? i jeszcze jak? (udaje śmiech).

Szarotka (dobywa wiadomą książkę). Przedewszystkiem z całego serca dziękuję za łaskawą o mnie pamięć, i przysłanie mi tego niezwykłego dzieła, radbym jednak prosić szanownego pana o niektóre wyjaśnienia — niektórych bowiem ustępów wprost nie rozumiem. (szuka) Jak naprzykład mógł pan wyostać się na szczyt Gerlachu ze strony południowej — i zejść potem po klamrach na dół.

Krzeptowski. Ależ to bardzo proste... ot tak (chwyta za klamkę przy drzwiach w głębi) tak — a potem już.

Szarotka. Ha, ha, ha! to wyborne... ale co mnie jeszcze zastanowiło, że opisuje pan Dyrektor zawsze tylko wejście, a zejścia nigdy.

Krzeptowski. Proszę pana — zejście to taka rzecz łatwa, że i pisać o tem nie warto.

Szarotka. Nasz dyrektor w wybornem dzisiaj usposobieniu.

Krzeptowski. Ale niech mi pan książkę pozwoli, coś tam panu pokazać. (bierze, chowa do kieszeni — na str.) No i ten egzemplarz nieszkodliwy (zwraca się do dwóch panów).

Szarotka (zadziwiony). Zabrał mi książkę.

Polanka. Państwo pozwolą się pozegnać.

Apolonia. Ależ, panie redaktorze, jeszcze chwileczkę, może kieliszek wina.

Polanka. Wobec tak serdecznych zaprosin (podaje jej ramię). Nie umiem państwu opowiedzieć, jak bardzo cieszę się z poznania (resztę kończy za drzwiami).

Szarotka (pozostaje z Wacją). O, niech też pani nie odchodzi... mam z panią o czemś ważnem pomówić... wygląda pani dziś...

Wacia. Jak najpiękniejszy wierzch lub turnia.

Szarotka. Moje najlepsze zamiary, przyjmuję pani zawsze w sposób tak osobliwy.

Wacia. Nie uważałam tego.

Szarotka. Ale tak jest, niestety — gdy mi się zdaje, że jaki taki już grunt znalazłem pod nogami, hrym! spadam odrazu do przepaści 500 metrów, głową na dół. Istotnie, bywa pani tak lodowata, jak najbardziej lodowaty lodowiec.

Wacia (wskazuje wyrób cukiernicy). Lub też ten lodowaty cukier.

Szarotka. A całym mojem najgorętszym pragnieniem pokonać wszelkie przeszkody i wdrzeć się na sam szczyt moich marzeń.

Wacia. Ten wybuch turystyczno-liryczny, zasługuje na odpowiednią nagrodę, (odłamuje figurkę) Oto słodka boginka gór przez pana tak ukochanych. Niech pan skosztuje (wybiega).

Szarotka. Co? Skosztować (odrzuca z pogardą figurkę). A jeżeli to była przenośnia. Nic nie wiem. Skosztować? Kogo? co?

SCENA X.

Szarotka, Roman Mączyński, Fela.

Roman (wchodzi środkiem). Dzień dobry, czy się nie spóźniłem.

Szarotka. Nie, wszyscy są tam. (roztargniony) Dzień dobry... Powiedz mi doktorze — bo jesteś podobno rozumny człowiekiem.

Roman. Tak mówią!
Szarotka. Otóż, gdyby panu powiedziała młoda osoba: »niech pan skosztuje«, czy uważałbyś to za dobrą zapowiedź.

Roman (z uśmiechem). Jeżeli młoda i ładna, zarazby skosztował.

Szarotka (wesoło). Więc skosztuj (wybiega do jadalni).

Roman. Coś mu się dziś przydarzyło. Ale bo i mnie serce wali młotem na myśl, że znowu zobaczę Felę. Tak dawno nie widzieliśmy się. Ale czas zmienia ludzi. Wyjechała na studia do Krakowa, kto wie, jak teraz dla mnie usposobiona. E!... co tam, wszystko pokonam (gdy się zwraca do jadalni, wchodzi Felicja).

Felicja. A, pan doktor?!

Roman (bardzo serdecznie). Feluś, moja droga Feluś! (wyciąga obie ręce, zmieszał się, widząc jej obojętność) Cóż to, nie poda mi pani ręki po tak długim niewidzeniu.

Fela (wstrząsa jego ręką na sposób burszowski). Servus!

Roman. Oh! prawda — zapomniałem — pani już teraz studentką, na szczęście jednak nauka nie zatarła pani kobiecego wdzięku, wygląda pani jak zawsze zachwycająco.

Fela (zła). Dajże pan temu pokój, zwykłe mydlarstwo i nic więcej. Sądziłam, że z panem, człowiekiem nauki, będzie można poważnie rozmawiać, a pan na nic więcej się nie zdobył, jak: »pani wygląda zachwycająco«.

Roman. Bo nie podobna po za studentką nie widzieć uroczej panienki.

Fela. Panowie błędzicie, sądząc, że nam w ten sposób zdołacie się przypodobać.

Roman. Ależ to odwieczne wasze prawo natury.

Fela. Nasze prawo równouprawnienie z wami.

Roman. Wybaczy pani, ale to tylko puste frazesy.

Fela. Dla mnie zaś niewzruszona zasada.

Roman. Ależ panno Felicjo, natura sama poczyniła między nami tak wielkie ograniczenia, stworzyła tak znaczne różnice.

Fela. W tem zdaniu pańskim przebija się cała zarozumiałość mężczyzn. Nie natura to, mój panie, lecz wy sami i wasze niemądre wychowanie to sprawiły. Nie jesteśmy słabsze, tylko uciemiężone.

Roman. Znam jednak wypadki że i kobiety niezgorszą siłę reprezentują, a chociaż nie noszą pantalonów.

Fela. O... tylko proszę bez trywiałnych dowcipów, w ten sposób nie zbije mnie pan z tonu, nigdy też nie będę żałowała, że uczyłam się łaciny i greki.

Roman. Ależ z dziećmi swemi będzie

pani rozmawiała po polsku nie po łacinie.

Fela. Dziwnie pan do mnie przemawia, czy pan nie wie, że w ten sposób nie mówi się do młodej osoby.

Roman. Tak? więc gdzież jest równouprawnienie? Droga panno Felicjo, jakżeż daleko odbiega teoria od praktyki. Kobieta jest nadto subtelną, nadto odczuwającą.

Fela. Pozbędziemy się tego.

Roman. A jabyśmy pani nie radził.

Fela. To już do mnie należy — przekonam pana, że mimo wszystkiego musicie mieć dla nas respekt i szacunek, a z twierdzenia pańskiego pozostaną tylko strzępy. Przekonać pana — czy zgoda?

Roman. Zgoda, ale tylko pod jednym warunkiem.

Fela. Ciekawam?

Roman. Będę panią zupełnie jak mężczyznę tak długo traktował, dopóki sama pani nie zabronisz mi tego, a gdy nadejdzie ta chwila...

(*Fela* czyni stanowczy gest zaprzeczenia).

Roman. O, nadejdzie z pewnością.

Fela. Nie dożyje pan tego.

Roman. Zobaczmy — tymczasem i od teraz jesteście pani dla mnie tylko mężczyzną. (wyciąga porte-cigare, podaje jej) Zapali pani — prawdziwe hawańskie.

Fela. Dziękuję... wolę papierosa (bierze ze stołu, zapala).

Roman. Proszę o ogień.

Fela (zakaszła się). Tam są zapalki.

Roman (coraz bardziej tonem jak do kolegi). Ktoby ich tam szukał — tak wygodniej. Piekielnie dziś gorąco, doprawdy wytrzymać trudno (ściągają zakiet).

Fela. O, proszę pana.

Roman. Niech pani uczyni tak samo.

Fela. Zachowanie się pańskie...

Roman. Pomiedzy dobrymi kolegami... Przy kobiecie z pewnością bym tego nie uczynił.

Fela (zagryza usta). A, prawda, zapomniałam... niech więc pan nadal nie zadaje sobie przymusu.

Roman. A widzi pani, jesteśmy już na najlepszej drodze do porozumienia (dobywa gazetę, rozkłada i czyta).

Fela. Skoro pan zabiera się do czytania, nie jestem tu wcale potrzebna.

Roman. Jak pani uważa. Servus!

Fela (zwraca się ku drzwiom, staje, tupie nogą, namyśla się). Nie zechce pan widzieć się z ojcem?

Roman. Ach... prawda — wszak po to tu przyszedłem, aby mu złożyć życzenia, a tymczasem tracę drogi czas na niemądrych rozprawach (wkłada surdut, umyślnie zrzuca serdak ze stołu).

Fela. Co pan robi?

Roman. Niech pani to podniesie.

Fela. Nie ja zrzuciłam.

Roman. Wszystko jedno — między kolegami.

Fela (nie posiada się ze złości, podnosi, ciska na stół). Jesteś pan nieznosnym.

Roman. To się tak pani tylko z początku wydaje, lecz gdy pani nawyknie do koleżeńskiego traktowania.

Fela. Nie nawyknę nigdy do brutalności i gdybym była mężczyzną jużbym panu dawno powiedziała *quousque tandem abutere patientia mea!* i wyzwala pana na pojedynek.

Roman. Ot i znów nowa między nami różnica — wyzwac mnie pani nie może.

Fela. Nie mogę, ciekawam dlaczego? Ja strzelam jaskółki w lot

i biję się niezgorzej na szpady. Strzeż się pan, abym uczynić tego nie była zmuszona (wychodzi bardzo rozdrażniona).

Roman. Ha! ha! jaki temperament, rozkoszna istota — i to właśnie mnie do dalszej walki podnieca.

SCENA XI.

Roman. — *Krzeptowski.*

Krzeptowski (wchodzi wzburzony z jadalni). Nie, to nad moje siły! czego ci ludzie chcą? (spozrzegł Romana). Ah — nareszcie jest człowiek, z którym o czem innym jak o wycieczkach w góry pomówić będzie można.

Roman. Wujaszek poirytowany.

Krzeptowski. Inny jużby się dawno wściekł na moim miejscu, a ja jeszcze nie! — Co?...

Roman. To są te drobne nieprzyjemności, gdy się jest sławnym. Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze życzenia.

Krzeptowski. Dziękuję! dziękuję!

Roman. Wyznaję jednak ze wstydem, że nie spodziewałem się nigdy, aby wuj mógł napisać taką doskonałą książkę.

Krzeptowski. Co, nie spodziewałeś się? Kuzynku, tu do serca mojego — zawsze utrzymywałem, że z całego stada rodzinnego, ty jeden miałeś najwięcej zdrowego rozumu.

Roman. Nie rozumiem wuja — rzecz napisana wybornie, w niektórych miejscach wspaniała. (wyciąga książkę) Ot tu, pod dniem 6 sierpnia, to prawdziwy poemat.

Krzeptowski. Co, i ty masz tę książkę... pozwolisz, że ci napiszę dedykację.

Roman. Czy pozwolę? — proszę o ten zaszczyt (wręcza mu).

Krzepkowski (chowa jak poprzednie). Podpiszę ci za chwilę, teraz nie jestem odpowiednio usposobiony. (n. s.) Znowu jeden egzemplarz mniej, już miejsca nie mam w kieszeni na te arcydzieła (z jadalni słysząc śpiew: »Niech żyje nam!« i t. d.).

Roman. A tam co takiego?

Krzepkowski. Dom waryatów — istny dom waryatów... niewytrzymam; pozwolisz... zrobię małą wycieczkę na Orlą Perć (chce uciec, wtem wchodzi wszyscy z jadalni).

SCENA XIII.

Ciż. — *Apolonia, Wacia, Fela, Benedykt, Górale.*

Apolonia. Gdzież nam uciekłeś mężu? A... pan doktor... bardzo... bardzo jesteśmy mu radzi.

Wacia. Dzień dobry kuzynku.

Roman. Dzień dobry kuzyneczko! Ale wyrosłaś i wyładniałaś nad podziw. (spoziera na Felicję) Wszak tobie to bez obrazu powiedzieć można.

Wacia. Spodziewam się — tem bardziej, że nie często słyszę coś podobnego, a pochwały lubię jak każda kobieta.

Roman. Chwała Bogu — i dlatego cię za to serdecznie ucałować muszę, do czego jako kuzyn wszelkie mam prawo.

Wacia. A całuj ile ci się tylko podoba.

Roman. Z radością (całuje).

Fela (do matki). Zachowanie się doktora jest wprost bezwstydne.

Benedykt (wchodzi środkiem). Proszę pana, przyszli górale zakopiańscy... (wrzawa, okrzyki radości) mówią, że są tutaj zaproszeni.

Wszyscy. Górale! górale!

Apolonia. Ah nareszcie, to obaj przewodnicy, stary Gąsienica z synem Wojtusiem.

Krzepkowski (n. s.). Koniec świata.

Apolonia. To właśnie, mój drogi, ta najważniejsza niespodzianka.

Krzepkowski (n. s.). Bezcelności nie opuszczaj mnie.

(*Benedykt* wprowadza górali, po czem odchodzi — za chwilę wraca, wnosząc na tacy kanapki, wino i t. p.)

Wchodzi obaj *Górale*, ubrani jak górale w Zakopanem, będący przewodnikami pierwszej klasy. Stary Gąsienica silny, wysoki, surowy, trochę znużony — młodszy lat 26, ogorzały, przystojny.

Apolonia. Bardzo się ciesze, żeście nie odmówili naszemu serdecznemu zaproszeniu.

Stary Gąsienica. Ha no! prosem piknie wasych miłości, cóż było robić, chociażewa nie wiedzieli, że to taka cesta.

Wojtek. A tu tośmy się ledwok do was natrafili, jaze nam jakiś w cerwonej copece do domu skozoł.

Apolonia. Tem serdeczniej witam was tutaj; was, coście byli pomocni mojemu mężowi w najtrudniejszych jego wyprawach i szczerze wam za opiekę dziękuję.

Stary. Prosem piknie wasych miłości, nie ma za co, toceśwa od tego przewodnikami i juześwa za to dawno piniundze wzieni.

Apolonia. Przemówże do nich, mój drogi.

Krzepkowski. Moi drodzy, kochani górale, witajcie! Jakże się masz mój stary (ściska mu rękę).

Stary. Dziękujem panu wielkomoznemu, dobrze. (zdziwiony do syna) Bardzo gzeeny ten pon z miasta.

Krzepkowski. Oo, Staszek... patrzcie jak on wyrósł!

Wojtek. Prosem piknie, nazywom sie Wojtek.

Krzepkowski. Ah prawda, drogi, kochany Wojtuś. Tak, tak, no a jakże tam zdrowie waszej żony.

Stary. E! moją nieboskie już będzie z dziesinć roków jak Pan Jezus zabroł.

Krzepkowski. Ach tak, prawda — ja myślałem o żonie Wojtusia.

Wojtuś. Prosem piknie, jo tam nimom baby.

Krzepkowski. Prawda, zapomniałem, ciągle was mieszam z tym Staszkiem Rojem. Ha, ha, ha! — Lecz jakżeście się dostali aż tu do nas.

Stary. Ano koleją. (rozgląda się) Ale zjodłby jo cosik, kajsi, bom umęcony bardzo.

Apolonia. Kogo szukacie.

Krzepkowski (w śmiertelnym strachu). Jeść im się chce — to całkiem naturalne.

Stary. Cisto piknie bym zjodł.

(*Benedykt* niesie tacę do jadalni).

Krzepkowski. Hej, Benedyckie, dawajno — panienki, pomóście mi ich ugościć.

Wacia (podaje tacę staremu). Proszę, proszę...

Fela (taksamo młodemu). Prosimy, prosimy.

Wojtek (wytrzeszczył na nią oczy). Śliczy z was hrobocek.

Krzepkowski. Tylko śmiało — nie żałujcie sobie po takiej dalekiej drodze — dzielni ludzie. (daje obydwom w obie ręce po kawałku jedzenia — prócz tego wtyka staremu kawał chleba w usta) Muszę im gębę zatkać, inaczej zginąłem.

Stary (do syna). Ten pon to dobry gazda — ale kajze jest ten wielko-

mozny pon, cośmy go prowadzili w Zakopanem.

Wojtek (żując). Nie widzę ci go.

Stary (żując). Moze zabacył o nos.

Krzepkowski. Jeszcze kawałeczek.

Stary. Barzo dziękuję, ale gdzie jest ten pon, cośwa go w góry wiedli.

Krzepkowski. Zaraz, zaraz będzie. Chodźcie tymczasem tam, wypijemy za wasze zdrowie, na zdrowie Zakopanego, Czerwonych wirchów i t. d. i t. d. No, dalej stary! (chwyta go pod ramię i wyprowadza go do jadalni. *Polanka* właśnie stamtąd wychodzi).

Apolonia. Spójrzyj redaktorze, co za wzruszający obrazek. »Z polską szlachta polski lud«, jak mówi Kraśński.

Polanka. Istotnie tak... ale państwo wybaczą... muszę ich pożegnać.

Apolonia. Jaktó, już nie zechce pan wypić z nami kieliszeczka wina.

Polanka. Wobec tak serdecznych zaprosin (podaje jej ramię) nie umiem odmówić państwu (resztę kończy za drzwiami).

SCENA XIII.

Fela, Roman, Wojtek.

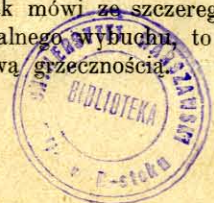
Fela. A wy Wojtuś nie pójdziecie.

Wojtek. E, nie... wole kiela coś z wami pogwarzyć hrobocku, barzo mi przypadliście do smaku.

Fela (do Romana). A widzi pan, jemu się spodobałam.

Roman. A gdy ja dziś rano coś podobnego ośmieliłem się powiedzieć, to pani to najgorzej przyjęła. O, logiko — imię twoje kobieta.

Fela. O, za pozwoleniem, ten człowiek mówi ze szczerzego serca, z naturalnego wybuchu to nie jest zdawkową grzecznością.



Wojtek. Jo ta do gzečności panienki nie zajędzom, ino mówię co myślę, a kiedy takom panienkę zobacę, toz to nie dziwnego, ze mi sie dusa rwie do wos

Fela. Istotnie, kochany Wojtusi.

Roman. Ależ pani wyraźnie go kokietuje.

Fela (zła). Kokietuję... nie! Wojtuś mi się naprawdę podoba.

Wojtek. O rety, kiebyk to ino prowde mówili panienko.

Fela. Prawdę mówię bo jesteście inni jak nasi wymokli i zblazowani panicez z miasta. Siła jest pięknością, siła ma swój odrębny urok i swoja potęgę.

Roman. Ha — jeżeli sama tylko siła podoba się pani, to ja tu nie mam nic więcej do czynienia (wychodzi na prawo).

Wojtek. Cego sie ten parobek onacył.

Fela. Nic nie szkodzi należała mu się ta nauczka... Chodźmy teraz do tamtych.

Wojtek. Prosem piknie nie uciekajcie, tak mi cudnie z wami.

Fela. Później — trochę później — teraz koniecznie iść muszę. Do widzenia kochany Wojtusi (wychodzi na prawo).

Wojtek. A to ci hrobocek ślicny. Gada do mnie, ze się jej bardzo nadaje (rozmyśla).

Stary (z prawej, trochę pijany). A kajże sie podziol Wojtuś! Wis jadła tu i napitek naśliswa potela, ano i grosa nie załują ludziom — widzisz?

Wojtek. A to co?

Stary. Sto koron niby za przewodnictwo.

Wojtek. Za przewodnictwo?

Stary. A no juści. I to za takie będzie chwila wytechnienia.

Wojtek (śmieje się serdecznie). Haj!
Stary. Ot takie to zawracanie. Juz jo ci to pote pedziol bede.

SCENA XIV.

Stary, Wojtuś, Apolonia, Roman, Wacia, Fela, Krzeptowski, Szarotka.

Apolonia. Ach! tu są nasi drodzy przyjaciele... Waciu! podaj kawę panom góralom.

Szarotka. Czy mogę pomódz pani?

Apolonia (do starego, który pije kawę ze spodka). Za tydzień przyjdziemy wszyscy do Zakopanego, aby zwiedzić wszystkie miejsca, po których prowadziliście mego męża.

Krzeptowski (zachłystnął się) Tak, tak.

Stary. Haj!

Apolonia. A która wyprawa była najniebezpieczniejsza?

Krzeptowski. O... to się tak opowiedziec nieda, nieprawda stary.

Stary (po cichu). Nie bójcie się panie. (głośno) Widzicie gaździno, najtrudniejsza beta kiejśwa śli z Miętusia na Kwardy wirch, a pote na Orłom perć, to wtedy wicie...

Krzeptowski. O tak... wtedy to było bardzo niebezpiecznie.

Stary. A kiedyśwa już wrocali...

Krzeptowski. E... powrót to już głupstwo...

SCENA XV.

Dawni — Marynia, Fotograf.

Marynia. Jest tu fotograf, proszę pana, i powiada, że go przysłał z »Jutrzenki«.

Krzeptowski (n. s.). Chwała Bogu! będzie chwila wytechnienia.

Fotograf. Przepraszam, jeżeli przeszkadzam, wysłano mnie z redakcyi »Jutrzenki«, celem zdjęcia kilku fotografii panie dyrektorze.

Krzeptowski. Ani myślę.

Fotograf. O! to mnie nie przeraża, ani nie zniechęca. Mam już w tem pewne doświadczenie. Fotografowałem malarzy, rzeźbiarzy, artystów, balerki i morderców, a choć się nieraz zżymali, skoro powiedziałem: »proszę o wesołą minę« — stali przed aparatem jak mur (układa aparat).

Krzeptowski. Bezwstydnik.

Fotograf. Pierwsze zdjęcie! Wdrażanie się na Giewont.

Krzeptowski. W takim razie zechcesz się pan potrudzić ze mną do Zakopanego. Tam się pan łatwo o mnie dopyta.

Fotograf. O... to niepotrzebne... Zrobi się to zaraz i tutaj na miejscu, proszę tylko o trzy duże obrusy i małą podwójną drabinę.

Apolonia. Waciu, postaraj się o to.

Wacia. Natychmiast mam (wybiega).

Fotograf. A teraz pan dyrektor zechce łaskawie ustroić się w swoje ubranie górskie.

Krzeptowski. Ani myślę.

Roman. Nie psuj nam zabawy wujaszku. A czy nie możnaby i przewodników odfotografować.

Fotograf. Tych dwóch? naturalnie — wspaniały pomysł. Dalej żywo.

Apolonia. Janie Kazimierz, nie odmawiaj, uczyn to dla nas.

Krzeptowski (n. s.). Oby się moja kompromitacya wypełniła do reszty.

(*Wszyscy* obecni gwałtem ubierają opierającego się Krzeptowskiego, wkładają mu serdak, kapelusz, worek, dają mu ciupagę. — *Wacia* wnosi obrusy).

Fotograf. Zaraz wszystko będzie gotowe.

(*Benedykt* i *Marya* wnoszą składaną drabinę, ustawiają ją za stołem. *Fotograf* wysuwa duży stół na środek pokoju, na nim ustawia mniejszy, na tym zaś stołek, to wszystko okrywa obrusami).

Fotograf. Panie przewodniku — w góry.

Wojtek (staje na drabinie, trzymając na sznurze Krzeptowskiego).

Fotograf. W ten sposób zdjąłem z natury całą wojnę burską, setki wylewów, wesel, wypadków kolejowych i najciekawszych katastrof. — Panie Dyrektorze, proszę tutaj na stół.

Krzeptowski (którego przewodnik uwiązał na linie, siłą przez obecnych zmuszony, wchodzi na stół — do siebie). Jestto pierwsza wyniosłość, na którą dobrowolnie wylazłem.

Fotograf. Tak dobrze, trzeba tylko dodać temu trochę malowniczości, nogę naprzód — tak, jak gdyby się pan wdrapywał na górę — a wy tutaj... Doskonale — wy tam na górze trochę na lewo. (krzesło się chwieje) O... ostrożnie, bo spadnięcie w przepaść. Panie Dyrektorze, ciupagę w prawą rękę... pan ciupagę ujął odwrotnie, no, tak, dobrze (ustawia).

(*Wojtek* na drabinie ciągnie do góry linę. *Krzeptowski*, udaje że się wspina, *stary Gąsienica* udaje, że za nim postępuje z całą ostrożnością i chroni przed możliwym upadkiem).

Apolonia. Co za grupa.

Szarotka. Szczyt naturalizmu.

Roman. Najbardziej rzeczywista rzeczywistość.

Krzeptowski (n. s.). Jak zaraz nie skończy, zemdleję, nigdy jeszcze nie wylazłem tak wysoko.

Fotograf (pod suknem). Proszę o spokój, zaczynam — raz... dwa... i...

SCENA XVI.

Dawni. — *Dwaj postaćcy z koszem. Pankracy.*

Pankracy (wpada bez tchu). Udało się, dzięki Bogu. Oto masz mój kochany wszystkie egzemplarze, wykupiłem co do jednego.

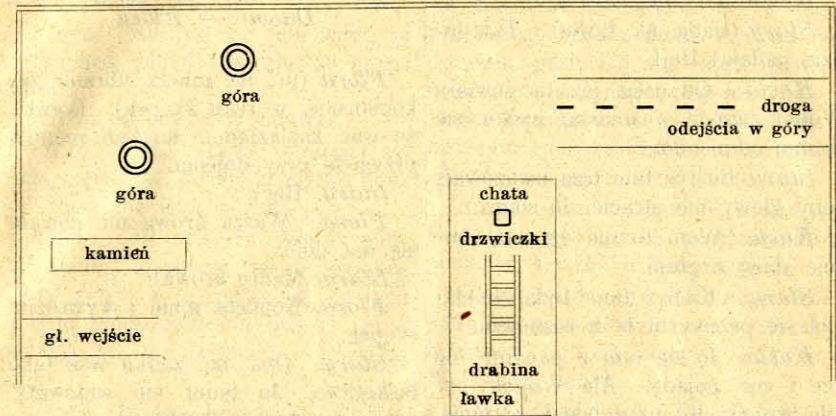
Krzepkowski. Co? Orlą Perć — wrazenia z gór Jana Kazimierza Krzeptowskiego — tutaj przyniosłeś? (w najwyższej pasy) Jesteś największym durniem jakiego kiedykolwiek święta ziemia nosiła (chwieje się i prawie upada. Przewodnicy go podtrzymują).

Fotograf. A teraz, panie Dyrektore, proszę zrobić wesołą minę.

(Zasłona spada).

KONIEC PIERWSZEGO AKTU.

Lesista okolica w głębi.



AKT II.

SCENERYA

Na szczycie wielkiej góry. Na prawo nieduże schronisko z werandą, wszystko z drzewa. Po tej stronie schroniska, którą widzi publiczność — okno jednoskrzydłowe (mogą być i drzwi) pod niem drabina i ławka. Na lewo w głębi ścieżka pomiędzy skałami. Z frontu też na lewo wiedzie ścieżka z dołu, tędy główne wejście. Widok wspaniały — zakopiański — góry i t. p. żadnej roślinności, nagie skały, niska trawa, gdzieś trochę wody.

SCENA I.

Kasia — Stary Gąsienica.

Kasia (zajęta czyszczeniem skopców, co czyni z taką pasją, jak gdyby całą swoją złość na nich wyrzuciła — przestaje, znów szoruje je dalej). Oho! będę jo strasznie cujną. Widzę jo dobrze, ze Wojtuś zachodzi koło jakiejś panienki z miasta. Te chłopcy, to zawse psie nasienie.

Stary (z chaty). Hej! dziewczucha, a cóz ty se myślis — jesces tak

brzycko odziano — gości tylo co nie widać.

Kasia (bardzo rezolutnie). Jo ta o nich nie stoje, a robota sama sie nie zrobi. Co mo wisiec nie utonie, toć to i święty dojechoł do Saflar bez was.

Stary. Wielgi cos izbę uprzatnąć.
Kasia. Hnetki uprzotne, nie waso głowa.

Stary (chwilę patrzy na nią). Cy dyascy cie chycili, ześ tako zło.

Kasia. A wom to dziwne — toć wiecie, ze Wojtek.

Stary. Wojtek niepote! Hej.

Kasia. Dyć on was syn.

Stary (siada na ławie). Tak ludzie padają! Hej!

Kasia. Od casu jak ta oćwiara Wojtek wrócił z miasta, syćko sie w nim odmieniło.

Stary. Bo tyz tam trza uwazować, zeby głowy nie stracić. Jo som...

Kasia. Wom to nie dziwota, boście stary a głupi.

Stary. Kiebyś tam była, hnetki byś się przewyrtnyła z rozumem.

Kasia. Jo sie tam z panami nie kee i nie pojade. Ale Wojtek pokilo wrócił, to juz zabocył o mnie, nie nablizy sie, nie zagoda i nie boska mnie w gębę.

Stary. Ha no! Wiem głobis ci on jest wielgi, zol mi cie, ale cóz jo ci na to poradzę?

Kasia. Was za garło nie chyce, miejska panna cudecki śnim zrobiła. Zebyście ino wiedzieli jak mu sie ocy świeciły, gdy weoraj od niej list odebrał. Pisała do Wojtka, że tu przyjedzie z gazdą, z gazdziną i siostrą. To bardzo nie pieknie.

Stary. Hej!

Kasia. Od tego casu tak Wojtkowi namocyła rozum, ze niby waryot. Wybroł lo nich najlepsom izbę, i som ją oporzadzi, taki oćwiara!

Stary. Cóż jo ci na to uradzę.

Kasia. Jo sie tez wos nie przepytuje, za łeb chyce i bedzie kuniec.

Stary. Ha no! jak ci ta dogodne!

Kasia. Ci wielkomości państwo z miasta, to syćko popsuc musą u nas. Cego sie to włócy, a nie siedzi doma? (Krzyk *Flory*).

Stary. Co sie tak tam ozlega? Pewnie ta smysna aktorka.

SCENA II.

Dawni — Flora.

Flora (już nie młoda, ubranie zakopiańskie, w rękę skopek). Dobrze, że was znalazłam... miałam niemią przygodę przy dojeniu.

Stary. Hej?

Flora. Wasza krowa nie chciała się dać doić.

Stary. Mądro krowa!

Flora. Kopnęła mnie i wywróciła skopek.

Stary. Ona na zadku wse tako łaskotliwo. Jo temu nie winowaty, zeście sie do niej brali.

Kasia. Nigda takiego ubranio nie bierzcie, bo sie krowa wos boi i nablizyć nie da. Taką prosę piknie weźcie kosulę. Hej!

Flora. Kiedy się jeszcze wstydze tak u was chodźć.

Stary. Hej? A cemuz to, prosem piknie u nos doicie krowy?

Flora. Postanowiłam sobie tu na miejscu lud i jego zwyczaje zbadać, dziś nie można być poważną artystką bez studyów. Jak można grać w sztuce ludowej, kiedy się samej ani razu nie doiło krowy, tembardziej, że dziś najtragiczniejsze sceny odbywają się w stajni lub na śmieciach.

Stary. Co wy tez prawicie?

Kasia. Słuchojcie? Kieby mnie Wojtuś nie kcioł za żonę wziąć, to przystanę do wos.

Stary. O rety! Do komedyantów? Tybyś ta wnetki skapiała w takim piekle. Wis.

Flora. Gdyby ci nie przeszkadzało narzecz i twój sposób wyrażania się, mogłybyśmy zaraz odbyć próbę. Ty np. udawałabyś opuszczoną dziewczynę, a ja tę, która ci zabrała kochanka.

Kasia. A pani kto o tem pedzioł, ze mi zabrali Wojtka?

Flora. Ale ja nic nie wiem, ja tylko chce, żebyś udawała, że ci go zabrali.

Kasia. Kcecie, aby udawać?

Flora. Tak, udawać straszna do mnie nienawiść, bo cię kochanek opuścił i pragnie inną poślubić.

Kasia. Mówicie, że Wojtek opuścił zalubił tę pannę, ten niepote kee z nią zenic, z tą porazoną on kee opuścić mnie, com mu duse i serce oddała, on ten oćwiara. — Bodaj zdek.

Flora. Brawo, brawo, — ależ to pierwszorzedny talent, jaka siła, ogień, prawda i temperament.

Kasia. Niech mnie i jego Poniezus zachowo, zeby mnie rzucół, onby skapiał jak owca, a ja z Krywania rzuciłabyk sie, niesceście bedzie strasnie (ucieka do schroniska).

Flora. O... a to znów dlaczego?

Stary. Prosem piknie wasych miłości to ta taki bzdur babski — toć i my w górach casem robimy takie komedyasy...

Flora. To talent wprost bajeczny; ja sama mogłabym się czegoś od niej nauczyć (idzie za nią do schroniska).

SCENA III.

Stary, — Jan Oksza.

Oksza (zdrow, świeży, energiczny, strój zakopiański). Pochwalony.

Stary (serdecznie). Na wieki! Cóż jo to widze? Nas pon Oksza zawitał do Zakopanego (ściska go za obie ręce). Chwała Bogu, zeście nie zabacyli o Zakopanem.

Oksza. Tych pięknych gór wa-

szych zapomnieć trudno. Skoro zbliża się możność wydostania się z tego przekłętogo miasta, dusza wyrwa się do was, gdzie się ma czyste powietrze, gdzie się naprawdę jest bliżej Boga, zapomina się o całej nędzy codziennego życia i zdobywa się nowe siły do dalszej z niem walki.

Stary. Chto tak godnie, cysto piknie o nasych górach pedzieć umie, powinien książkę o tem napisać.

Oksza (siada). To też i napisałem, opisałem wszystkie nasze wycieczki, któreśmy z tobą stary i z twoim Wojtusiem odbyli.

Stary (siada przy Okszy). Hej? to musicie te książkę mi podarować.

Oksza. Naturalnie... ale ale... powiedzcie mi stary, czy wszystkie te wyprawy, któreśmy razem odbyli — powtarzaliście jeszcze z kim innym?

Stary. Prosem piknie ik miłości, a czyby kto miał takom odwagę jak wy.

Oksza (wstaje). Tak też i ja myślałem, tymczasem donosi mi jeden z moich znajomych, że ktoś całą moją książkę przepisał i wydał ją pod własnem nazwiskiem. Radbym się spotkać z tym panem

Stary (n. s.). A to ci Harnas! To ten stary z miasta. (głoś.) A wiecie kto to taki?

Oksza. Dotąd nie — ale dowiem się jak dostanę książkę, a wtedy porachujemy się z sobą. Macie tam jaką izbę dla mnie?

Stary. Lo wosby nie było? Toć jest na górze po prawej.

Oksza. Doskonale — uporządkuję się nieco no i może dziś jeszcze w drogę. Przypomnimy sobie dawne czasy. Do widzenia! (Wchodzi do chaty).

SCENA IV.

Stary. — Pastuszek. — Kasia.

Pastuszek. Gazda, zbiroście się ino żywo, tam jakiś pon położył się na drodze i nie kce iść dalej.

Stary. Przekopyrtnął się?

Pastuszek. E, kej on sie ta przekopyrtnoł, położuł się z wielkiego umęcienio jak oscypek i dalej nie moze. Pytoł sie o was. Jakoś sie tak nazywo niby, jakby tu sie urodził w Zakopanem, Krzeptowski cy niby inacej.

Stary. Juz wim — to mój pon wielkomozny z miasta, a gdziez on lezy chudobina.

Pastuszek. Tu zaroz, kole urwanej wanty.

Stary. Powiedz Kasi niech duchem wyściele łózko i ugotuje ziółek (wybiega).

Pastuszek. Kasiu! a chodźże ino chawok.

Kasia. Cóz labidzis?

Pastuszek. Gazda pedzioł cobys naprzodku wyścieliła łózko i hnetki ugotowała ziółków na kominie.

Kasia. Przyjechoł chto.

Pastuszek. Jakiś pon z miasta przewyrtnął sie i nimoze.

Kasia. Z miasta i nie moze? Hej?

Pastuszek. Gazda go tu prowadzą. Chyboj Kaśka pomozemy. (Wybiegają naprzeciw zupełnie wyczerpanego Krzeptowskiego, który w kostymie turystycznym, okryty potem, ukazuje się prowadzony przez starego Gąsienicę i Kasię. Pastuszek niesie jego rzeczy).

Krzeptowski. Dziękuję wam. Bóg zapłać — myślałem już, że skonam pod tą przeklętą górą (sadzają go).

Stary. Zaroz wam przyniosą coś,

co was na wnuku umocni (idzie z chłopcem do chaty).

Kasia. Oj hudobino z miasta, że wam sie widzi drapać po nasych górach.

Krzeptowski. O mylisz sie, znam ja wasze góry doskonale (usiłuje powstać — zatacza się — siada ciężko).

Kasia. Setnie ucieno was.

Krzeptowski. To tylko chwilowe zmęczenie ale jutro; — ach naturo, naturo!

Kasia. Cóz wam to? Uwozójcie, bo ocy wam wylezą, tak sie na mnie patrzycie.

Krzeptowski. Czy to prawdziwe? (chce ją dotknąć).

Kasia (ostro). Idźcie! bo jak was prasnę.

Krzeptowski. Już widzę jak mojej córce podobać się będzie Zakopane, Felicja tak lubi prostotę.

Kasia. Słuchojcie! To moze ta Felicjo jest ta, którom Wojtuś zalubił. To moze waso córka. A wy moze ten ociec, co z miasta do naszej chałupy przyjechoł.

Krzeptowski. Tak moja dziewczeczko, jestem Krzeptowski.

Kasia (wpatruje się w niego). Aha — to wy tak wyglądacie.

Krzeptowski (z dumą). Dziwujesz się?

Kasia. Bez co mom sie dziwować? Wyście taki z miasta parobek.

Krzeptowski. Parobek?

Kasia. Taki elegant miejski — nicpote pokraka?

Krzeptowski. Pokraka? Jak ona sie wyraża.

Kasia. Co to pozwalo kapić córce cudzego chłopca.

Krzeptowski. O zapozwoleniem.

Kasia. I jo mom lo takiego brzy-

kiego człowieka ścielić łózko i gotować ziółka.

Krzeptowski. Ależ zastanów się dziewczynno.

Kasia. Juz jo se dobrze uradziłam, juz jo was naucę rozumu. Syćkim pokazę, że bedziecie praskać nogami jak kuń, taki niedźwiedz, taki nicpote łapcywe! (wybiega).

Krzeptowski. Bardzo obiecujące przyjęcie — jeżeli dalej tak pójdzie, można się spodziewać pięknych rzeczy...

Stary (wchodzi z flaszką i kielszkiem). No wypijcie, to was postawi na nogi (nalewa).

Krzeptowski. Może i postawi. (Pije). Brrr! o do djabła... to piekło (chucha kilka razy).

Stary. Smakowite co? Sam robitem. — Nie zdekniecie od tego.

Krzeptowski. Tak? Niezdekne.

Stary. Spróbójcie jesce....

Krzeptowski. W imię Boże (pije). Brm, brm, brm. Ale macie rację, to orzeźwia.

Stary. To wam w brzuku załogodzi (pije). Zawdy kuzdemu pomagą, nie skodzi nikomu (pije).

Krzeptowski. Żeby też i mnie pomógł... Słuchajno stary co to z nami będzie? Dotąd się jakoś wykrecałem, ale co teraz? Jestem już rozbity na drobne kawałki, a tu mnie czeka ta piekielna wyprawa na wielką Mordege, ja tego nie wytrzymam, człowieku ja tam zgine.

Stary. Chyciły was góry! Hej!

Krzeptowski. Nogi mi wlażyły na pół łokcia tam gdzie nie potrzeba, a kolana uginają się podemną.

Stary (śmiejąc się). Prosem pi-knie, a jakze będzie z wyciecką?

Krzeptowski. A ty stary, co je-

steś moja jedyną nadzieją, jeszcze sobie kpisz ze mnie.

Stary. Niech ino pon będą ci chutki juz jo was wyratuje.

Krzeptowski. Przedewszystkiem chciałybym być stąd jak najdalej — czempredzej dostać się na dół. Czy nie uważasz, że zanosi się na stałą nie pogodę.

Stary. Kiejby ta! Jak nie bedzie descu, to moze bedzie pogoda.

Krzeptowski. W takim razie mo-że śnieg spadnie.

Stary (śmiejąc się). Śnieg? A bez co mo padać?

Krzeptowski. Więc może pioruny walić będą.

Stary. Hej! Pierony to moze sie utrafią. Jest tu taki pon, co was moze praśnie jako one pierony, bo sie zwiedziol, ze mu ktoś jego książkę o Zakopanem przepisoł.

Krzeptowski. Kto taki?

Stary. Pan Oksza.

Krzeptowski. Co? Wielki Boże, to przecież tylko mnie się przytrafić może, aby na 1000 metrów nad poziomem morza natknąć na kogoś, od kogo chciałoby się być najmniej o 2000 mil oddalonym.

Stary. E, tego ta znów tak bardzo strachać się nie potraza. Pan Oksza wie, że mu przepisali książkę ale nie wie chto przepisoł.

Krzeptowski. Dobrze i to, zawsze się cokolwiek zyska na czasie wiecie wy co, w takim razie gotówbym zaraz wybrać się w góry, aby się pozbyć tego przeklętego człowieka.

Stary. Co? w góry? Z takim bandziochem.

Krzeptowski. Ależ nie — nie na prawdę — tylko aby mu zejść z oczu, a jeszcze bardziej, aby się pozbyć

tego obmierzłego pana Szarotki, który się uwziął, aby widzieć jak będę przelazł przez tę wielką Mordegę (zdala słyhać śpiew). Ten okropny człowiek już się tutaj zbliża.

Stary. Widze idzie tu cała gromada i wasa gaździna idzie.

Krzeptowski. Moja żona? Ratujcie mnie wszyscy święci (idzie ku lewej, wywija kapeluszem). Nareszcie jesteście!

SCENA V.

Dawni, grono turystów i turystek. Szarotka i Apolonia.

Szarotka (prowadzi Apolonię). Jak to? Pan już tutaj? Wszak pan miał iść przez wodospady.

Krzeptowski. Tamtędy też szedłem

Stary. A to émi.

Krzeptowski. Cóż, żonusia zmęczona?

Apolonia (bez tchu). Ach mój drogi — nigdy nie spodziewałam się, że to tak trudno (siada) nie mam wprost słów podziwienia dla ciebie.

Krzeptowski. A mnie nic — zupełnie nic — i gotówbym choćby w tej chwili drapać się na szczyt największej góry.

Stary. Ale niekcecie.

Apolonia. Dumną jestem mając tak dzielnego męża.

Szarotka. Będzie pani jeszcze dumniejszą, skoro małżonek jej przebędzie wielką Mordegę, która odtąd nazwisko jego nosić będzie.

Krzeptowski (n. str.). Uduśzę go!

Apolonia. O mój Janie Kazimierzu staniem się nieśmiertelnym.

Krzeptowski. Tak! (n. s.) nieśmiertelnie ośmieszonym.

Szarotka (do nadciągających tu-

rystów i turystek). Szanowni państwo! wzywam was i proszę uprzejmie wzniesmy okrzyk na cześć znakomitego turysty, a naszego członka honorowego. Niech żyje nam! (powtarzają trzy razy).

Krzeptowski. Dziękuję — z całego serca państwu dziękuję — taki zaszczyt (n. s.) Boże! Boże! czemu ja nie zostałem w domu!

Szarotka. Czy szlachetny starcze izba dla mnie jest.

Stary. Nimo.

Szarotka Niema dla mnie izby?

Stary. Nimo (wszyscy zaniepokojeni).

Szarotka. No, ale gdzieś przemocować musimy.

Stary. Na sianku

Szarotka. Na sianie?

Stary. A ino.

Szarotka. A panie?

Stary. Sićko razem.

Szarotka. Ależ są córki pana radcy.

Stary. Niek sie położo, siano pannom nie zaskodzi.

Szarotka. Ale nam może zaszkodzić, wszak nie możemy leżeć jedno na drugim pokotem.

Stary. A to bez co?

Szarotka. Ależ to jest wprost niemoralne.

Stary. Grzychu nima spać na sianie.

Szarotka. Nie będzie się można rozebrać.

Stary. Jak wam ugodno, abo rozbierecie sie, abo i nie.

Szarotka. Ha, niech się dzieje, moi państwo *en avant!* obejrzymy przynajmniej naszą wspianą sypialnię (wychodzą za dom).

Krzeptowski. No ale dla nas przecież masz mieszkanie.

Stary. A ino... są dwie izby ot tam! jedna na dole, a jedna na górze.

Apolonia. Chodźmy — Janie Kazimierzu.

Krzeptowski. Nie teraz, jeszcze zostanie, muszę omówić jeszcze plan wyprawy, gdyż dziś jeszcze wyruszamy w dalszą drogę.

Apolonia. Pozwolisz, że przyrzadzę ci pożywienie na drogę.

Krzeptowski. Nie zapomnij o niczem, do widzenia. (Apolonia odchodzi do domu — Krzeptowski pada na ławkę). No, a co teraz? Sam widzisz jak się baba zawzięła.

Stary. Nie bójcie sie, juz jo wasej gaździnie o tej wycieczce po tela bede prawil, ze jest strasnie niebezpieczna, ze tam mozecie zgliwieć — takiego wasej kobiecie klinica wbije, ze ona wos tam nie puści na te wirch djobelskie.

Krzeptowski. Mów co możesz najokropniejszego, ale nie wiem, czy to pomoże, zachciało jej się być sławną i basta, a ja tymczasem kark skręcę w przepaści.

Stary. Cóż to jo dziecko cy co? Powiem jej, ze tam wiatry dują wielgie, toby wos zabrały het, a jak wos na kwarde kaminie rzucom, tobyście gicoły i łep rozwalili na prach.

Krzeptowski. Dobrze, dobrze!

Stary. Powiem jej, ze tam moze-cie z głodu i pragnienia zdeknąć.

Krzeptowski. Dobrze! dobrze!

Stary. Juz jo se poradzem ino sie nie bójcie! A jakby gaździnie wasej jesse za mało było, to jej tylo wydziwować bede, ze sie hudobina poplace!...

Krzeptowski. Tymczasem wynoszę się jaknajprędzej, abyśmy się nie spotkali z tym przeklętym pisarkiem.

Stary. Co to za wos ona ksiązeckę przepisoił.

Krzeptowski. Nie urągaj mi stary i zabieraj się w drogę.

Stary. Hej. (odwraca się ku chacie, z której wychodzi Oksza — do Krzeptowskiego). Prosem piknie ik miłości mocie tego pisorka.

SCENA VI.

Dawni. — Apolonia. — Oksza.

Oksza. Kasia was szuka.

Stary. Zaroz (n. s.). Dobrze, ze jo tu nie bede.

Oksza. Kogoż ja tu widzę — nie myślę się, wszakże to pan dyrektor teatru ho... ho... co za spotkanie — bardzo się cieszę.

Krzeptowski. Tego mi jeszcze brakowało. (gł.) A witam pana serdecznie.

Oksza. Nie widzieliśmy się od czasu tego rozkosznego wieczoru w Warszawie, któryśmy tak wesoło spędzili w pracowni malarza Curusia. Pamiętasz dyrektorku.

Krzeptowski (rozglądając się). Pst! nie tak głośno, bawię tu incognito, niechciałbym, aby...

Oksza. O... o... pocóż kawalerowi takie tajemnice.

Krzeptowski. To prawda, my jako ludzie nie żonaci... (widzi żonę). Gwałtu moja żona. (gł.) Cicho, ani słowa! moja żona.

Oksza. Co? żona?

Apolonia. Proszę cię mój drogi... ach pardon, nie widziałam.

Krzeptowski. Pan Jan Oksza, literat z Warszawy.

Apolonia. Literat? a więc do pewnego stopnia kolega mojego męża.

Oksza. O! nie wiedziałem, pisujesz też dyrektorze!?

Krzeptowski. Tak trochę — po dyletancku (n. s.). Jak zacznie o książeczce zginąłem.

Apolonia. Pan nie wiedział? O... właśnie jego najnowsze dzieło (dobrym wiadomą książkę).

Krzeptowski (n. s.). Zginąłem.

Oksza. Czerwona oprawa, złoczone brzegi, zapewne poezye? (chce książkę otworzyć).

Krzeptowski (rzuca się gwałtownie, kurczowo chwyta książeczkę, aby Oksza nie mógł czytać). E! co tam głupstwo, początkowe próbki dyletanta, nie czytaj pan, bardzo proszę.

Apolonia. Ależ mój Janie Kazimierz to już więcej jak skromność. Owszem radabym bardzo, aby pan wypowiedział swoje zdanie o książce, która się powszechnie podobała.

Oksza. Bardzo chętnie, proszę pani (chce zajrzeć do książki).

Krzeptowski. Tu, tu na łonie czystej, niepokalanej natury czytać takie rzeczy, nie — nigdy! Zostawmy to na później, jak słońce nastanie (chce mu ją wydrzeć).

Oksza (chce ją schować w kieszeń). Dobrze, jak się panu podoba przeczytam później.

Krzeptowski (na st.). Muszę ją mieć, choćby mi ją ukrąść przyszło.

Apolonia. Mój mąż jest znakomitym turystą, ta książka właśnie...

Krzeptowski. Lecz cóż to może obchodzić pana, dajże mu pokój — nie lubi czytać i dlatego (wyciąga rękę po książkę, którą Oksza przekłada do drugiej ręki). Nie udało się.

Apolonia. Doprawdy nie pojmuję cię mój drogi. Chciałam, aby pan

przeczytał tę książkę, a ty tymczasem...

Oksza. Życzenie szanownej pani jest dla mnie miłym rozkazem (do Krzeptowskiego) ma pan bardzo energiczną małżonkę, czy przypadkiem nie grywa złych teściowych?

Apolonia. Złych teściowych? nie rozumiem pana.

Oksza. Tak — w trupie swego męża a może pani jest tylko komiczną matką.

Apolonia (wściekła). Jestem komiczną matką... co pan wygaduje. Zła teściowa? Komiczna matka? Mój mąż zażąda od pana usprawiedliwienia się z tego. Daruje pan, ale z człowiekiem tak źle wychowanym nie mam nic więcej do gadania (wybiega do chaty).

Oksza. Ależ łaskawa pani... Co się stało pańskiej żonie? A może żona w pańskiej trupie wcale nie grywa?

Krzeptowski. Bo to widzi pan.

Oksza. Jeżeli tak, to się nie dziwię, że się obraziła. Zaraz to naprawię, usprawiedliwię się — przeproszę — zaraz powrócę (chce iść).

Krzeptowski. Zaraz, panie moja książka.

Oksza. Dziś jeszcze ją przeczytam (wybiega).

Krzeptowski. Muszę ją mieć, choćbym go miał zamordować (biegnie za nim).

SCENA VII.

Krzeptowski — *Wacia.*

Wacia (w ubraniu turystycznym, z kijem). Hurra otóż jesteśmy (rzuca się ojcu na szyję). Cuda! cuda! pączko! sama nie wiem jak ci po-

dziękować, że nas zabrałeś ze sobą. (śpiewa).

O zahucały góry, oj zahucały lasy, Ka sie podziały oj nase downe casy.

Krzeptowski. No no... już się nauczyłaś. Nie tak gorąco... A gdzie Fela.

Wacia. Ona się tam wlecze woli z Wojtusiem, który jej nadskakuje. Nie widziałam czegoś równie komicznego.

Krzeptowski. Dajże pokój.

Wacia. Widocznie lubi brutalną siłę — a kiedy przenosił ją przez kładkę nad przepaścią, coś za bardzo przytulała się do niego.

Krzeptowski. Już ją z nią na seryo pomówię.

Wacia. Należy się jej to... a otóż i oni.

Krzeptowski. Albo powiem to matce, ona lepiej to uczyni (oboje odchodzą na prawo).

SCENA VIII.

Wojtek. — *Fela.* — *Kasia.*

Wojtek. Prosem piknie panienki jakże wam się spodobały nase góry?

Felicya. O! bardzo, a przede wszystkim tem się zachwycam, że obcuje bezpośrednio z naturą bez wszelkich konwenansów i konwenyonalnego kłamstwa.

Wojtek. Aleśma śli do dumy po leku. Tamte turystki muszą być w chatupie.

Felicya. Ale co mnie tamci obchodzą. Chcę tu być samą i żyć tylko z samą sobą.

Wojtek. Tu się tak sićkim u nos podoba.

Felicya. I takie dziwne piękne

myśli przychodzą do głowy. Duszębym moją tej pięknej naturze oddała.

Wojtek. Prosem piknie panienki, to możebyście i serce wase ostawili w Zakopanem.

Felicya (p. ch.) Moje serce? dla mnie niema serca, w naszym rozumieniu serce to tylko muskuł funkcyonujący według norm ściśle fizyologicznych.

Wojtek. To wase serce jesce twarde nie mieguśkie.

Felicya (patrzy nań badawczo, stanowczo). Dotąd jeszcze.

Wojtek. A jakbym wam pedziół, że jo wos strasnie zalubił.

Felicya. Ależ zastanów się co mówisz.

Wojtek. Jo barzo wos kochom.

Felicya (z uśmiechem). Wojtus żartuje chyba.

Wojtek. Prosem piknie panienko, scyrom prawdę mówię. — Zalubiłem wos od onej chwili, kiedy pirsy roz wos obocyłem w mieście.

Felicya. Jesteś typowym anachronizmem romantyzmu w naszych czasach walki jednostki z kapitałem.

Wojtek. Co wy pedocie, nie rozumie. Jeno cuje, że ty panienko królujes na demną, scyrą prawdę mówię jo wos ududkować nie kę.

Felicya. Ja wam wierzę.

Wojtek. A choć wy panna bogata, a jo chudobny górol.

Felicya. O tem nie wspominaj — tego rodzaju przeszkody mogłyby mnie tylko do walki zachęcić.

Wojtek. Cuje, że nos przepaście roztrącają, ale prosem piknie uwozycie co powiem: Kse roz zabłąkoł się w górach i z jedny góry na drugom nijakim świecie przeleżć nie móg — rzucił jo smerecek dostoł, jo się na drugom góre. Uwozycie ten smere-

cek, to moje zalubienie do was, po tym smerecku do was idę.

Felicja (podaje mu rękę). Dzielnym jesteś i szczerym mój Wojtusi, mówisz do mnie tak, jak nikt jeszcze nie przemawiał, masz prawdę w głosie, która mnie porywa. Słuchaj, chodźmy nad taką przepaść, o jakiej wspomniałeś, będziemy szukali tego smereczka po którym dostaniemy się na drugą stronę.

Wojtek. Wy kcielibyście ze mną iść? Hej? (chce ją objąć).

Fela (lekko go odtrąca). Zobaczymy.

Wojtek. Tam w górach śpiewać wam bede (śpiewa, chce ją objąć, ona się broni).

Kasia (z chaty — chwilę jak porażona). Wojtek oćwiara, a tobie co?

Wojtek (prerażony chce coś powiedzieć).

Kasia. Tyś chyba do imentu osaloł. Kany ty bywoł.

Wojtek. Było duzo roboty.

Kasia (z naciskiem). Hej, duzo roboty?

Felicja. Kto jest ta dziewczyna.

Wojtek. To Kasia.

Felicja. I ty pozwalasz jej tak ubraną chodzić.

Wojtek. Lo cego?

Kasia. Do dojenio nie bede sie stroić w fałregi.

Felicja. Ale nie wypada chodzić w takim ubraniu, które gwałci poczucie piękna i uraga estetyce.

Kasia. Co wy' prawicie?

Felicja. Chodź Wojtusi, to widok nie dla ciebie (odchodzi do chaty).

Wojtek. Panienska godnie peda, chodzisz w kosuli, kiedy panowie z miasta przyjechali. Hyboj odemnie. (idzie do chaty).

SCENA IX.

Kasia. — *Szarotka*.

Kasia. Cy on porażony? O raty! przeraty! (płacze).

Szarotka (wchodzi). Oh! jaki pyszny egzemplarz zakopiańskiej rusałki we łzach i w koszuli. Może potrzebuje pocieszyciela — spróbuję (nakłada monokl w pozycyi). Wspaniałe dziewczę z gór, jeżeli masz zgrzyzotę a szukasz pocieszenia — sam Bóg ci je zsyła — posłuchaj.

Kasia (w pasyi). Hej! Odcepcie sie odemnie, bo i tak strasznie mi sie popśniło.

Szarotka (chce ją ująć). Masz jakąs zgrzyzotę — opowiedz, może coś poradzimy na to. — Masz ranę w sercu, znajdziemy może na nią jaki plaster (chce ją pocałować).

Kasia. Odcep sie odemnie hudo-bino, bo jak cie prasnę, to ci pysk spuchnie obwiesiu. (Szarotka chwytą ją w objęcia). Idze sobie łatko do miejskich panien, bo jak cie prasnę (uderza go w twarz — odchodzi).

Szarotka (trzyma się za twarz). Nie spodobałem się jej widocznie.

SCENA X.

Szarotka. — *Wacia*. — *Oksza*.

Wacia. Czemu ona płacze? Może jej pan uczyniłeś co złego?

Szarotka. Ja jej? zastałem ją już płaczącą, a gdy się spytałem o powód, odpowiedziała mi tak dobitnie, że wolałem zaniechać dalszej rozmowy. Ale z panią, panno Waciu, miałbym ochotę pomówić o czemś bardzo ważnem — wygląda pani dziś tak czarująco.

Wacia. Ja zaś do pana mam prośbę.

Szarotka. Słucham panią z rozkoszą.

Wacia. A wysłucha mnie pan?

Szarotka. Bezwarunkowo.

Wacia. Słowo?

Szarotka. Słowo honoru!

Wacia. Niech mnie pan na chwilę pozostawi samą.

Szarotka (wypadł mu monokl). Co? samą? Ależ pani nudzić się będzie.

Wacia. Nigdy nie nudzę się sama — mnie tylko nudzą czasami.

Oksza (wychodzi z za chaty). Co widzę, pani w Zakopanem co za rozkoszne spotkanie. (chwytą ją za obie ręce).

Wacia (w pierwszej chwili przerażona zaraz się opamiętała). Istotnie! Dziwne czasem los przynosi nam niespodzianki.

Oksza. Jeśli szczęśliwe niespodzianki to...

Wacia. To już zależy od sposobu zapatrywania. Nie widzieliśmy się tak dawno.

Oksza. Od owej pamiętnej majówki. Ale jak pani wyładniała.

Szarotka (nagle). Hm, hm... a eo to za facet... hm, hm, zagadali się... nie słysza... Pan pozwoli... Szarotka.

Oksza. Oksza!

Szarotka. A to ciekawe — mnie odprawia, z tym trajkocze, jak kołowrotek; ale poczekajcie mamę wam tu sprowadzę, to wam przywróci równowagę. Moje uszanowanie... co to? pogłuchli... Zaraz, zaraz (idzie do chaty).

Oksza. A czy pamięta pani, eo wówczas ośmieliłem się powiedzieć.

Wacia. Czy pamiętam? Takich słów nie zapomina się nigdy.

Oksza. Powiedziałem wtedy — kocham panią.

Wacia. A dziś pan tego zapewne żałuje.

Oksza. Dziś powtarzam to pani z tem większem przekonaniem, bo udało mi się zdobyć podstawę urzędystwienia moich marzeń.

Wacia. Wiedziałam, że mogę zaufać panu.

Oksza. I dobrze uczyniłaś, najdroższa.

Wacia. Serce mówi mi tak — rozsądek nakazuje rozwagę — na pana liczę i na panu polegam w tej walce, która nas czeka.

Oksza. I nie zawiedzie się pani.

SCENA XI.

Dawni. — *Apolonia*. — *Szarotka*.

Szarotka (wskazuje rozmawiających).

Apolonia (z wyrzutem). Waciu, co tu robisz?

Wacia. Mameczka pozwoli, pan Oksza, literat.

Apolonia (przerywa ostro). Miałam już nieprzyjemność poznać tego pana.

Oksza (n. s.). Aha! więc komiczna matka jest jej matką — to się ubrałem (gł.). Czy wolno mi prosić szanowną panią.

Apolonia. Waciu, podaj ramię panu Adolffowi i chodź do mieszkania.

Oksza. Na miłość boską, szanowna pani.

Apolonia. Z panem już skończyłam.

Wacia. Mameczko.

Apolonia. Panie Adolffie.

Szarotka. Służę pani.

Wacia. Dziękuję — pójdę sama. (rzuca Okszy porozumienie).

Szarotka. Co? jak?

Oksza. Nie wiedziałem — przysięgam pani byłam w błędzie, nie miałem zamiaru obrazić — nie jestem winien.

Apolonia. Panie Adolfe, podaj mi pan ramię — z tym panem nie mam nic do gadania.

Szarotka. Służę pani. (oboje przechodzą majestatycznie koło Okszy).

Oksza. Szanowna — najłaskawsza....

Apolonia (rzucając mu pogardliwe spojrzenie). Dość tego!

Szarotka (naśladując ją). Dość tego! (oboje wychodzą do chaty).

Oksza. Coś podobnego, tylko mnie się przytrafić może. Ale co tam, Wacia mnie kocha to grunt.

SCENA XII.

Oksza. — *Flora.*

Flora (wchodzi z widłami z po za chaty, spostrzega Okszę, namyśla się, napada go). A więc to pan?

Oksza (usuwa się). Czego chcecie?

Flora. Pan mnie nie poznaje? Ale pan mnie prędko pozna *Flora* Skoczyska, artystka teatru ludowego.

Oksza (n. s.). Ah... prawda. (gł.). Czem pani mogę służyć.

Flora. I pan się pyta jeszcze — potworze. Cześć mi wróć moją i honor.

Oksza. Ja?

Flora. Cześć moją artystyczną, którą zniszczyłeś swojemi niegodziwymi krytykami.

Oksza. Niech mi pani wybaczy, ale krytyk pozostał w mieście — tu

jest tylko turysta, który ma zaszczyt... (chce odejść).

Flora (zagradza mu drogę widłami). Nie puszczę! Na Boga nie puszczę, przez pana straciłam engagement i nie daruję tego, pan mi musi wystarać się o inne.

Oksza. Ależ nie tu — nie teraz — przecież na 1000 metrów nad powierzchnią morza niema teatrów — ale, ale czekajno pani, spotkałem tu znajomego dyrektora teatru, pani go zna także — to ten nie młody, wesoly pan z owego sławnego wieczoru u Curusia.

Flora. O... jeżeli to ten sam, to jestem zupełnie spokojną, zaangażuje mnie niezawodnie.

Oksza. Radzę pani jednak bardzo delikatnie brać się do tego — bawi on bowiem incognito i ma z sobą żonę, wściekłą babę, jak się sam już o tem przekonałem.

Flora. Już ja sobie z nim poradzę, kontrakt mam w kieszeni.

Oksza. Otóż i on właśnie.

Krzeptowski (wchodzi z chaty — n. str.). Aha — kochany literat, teraz albo mu wydrę książkę, lub jestem zgubiony na prawdę (gł.). Wybacz pan, że przeszkadzam w rozmowie z zachwycającą naszych gór mieszkanką.

Oksza. Ależ przeciwnie — to dyrektor mi pozwoli, że mu przedstawię starą — a raczej chciałem powiedzieć, że odnowię dawną znajomość z panną....

Krzeptowski (przerażony). Boże to Flora!

Oksza. Rozkoszną znajomość z pamiętnego wieczoru u Curusia artysty malarza.

Flora (z przesadą). Nie marzyłam nawet o tak miłym spotkaniu, cho-

ciaż bardzo często wspominałam kochanego dyrektora.

Krzeptowski (n. str.). Ach to Zakopane, żeby cię!... (gł.). Bardzo, bardzo się cieszę. (potrząsa obie jej ręce).

Oksza. A ponieważ widzę jak szanowni państwo radzi oboje z odnowienia tej znajomości nie przeszkadzam i odchodzę.

Krzeptowski (za nim). Ależ panie, moja książka.

Oksza. O niech pan będzie spokojny, przeczytam dziś jeszcze. (odchodzi do chaty).

Krzeptowski. Ale bo widzi pan... (wybiega za nim).

Flora (chwyciła go za rękę) O... dyrektor niezbyt uprzejmy, chce mnie samą zostawić.

Krzeptowski. A to kleszcze, ja chciałem tylko... no dobrze, czem mogę służyć pani.

Flora. Dopełnić tylko obietnicy.

Krzeptowski. A cóż ja pani obiecałem (bardzo zaniepokojony).

Flora. Jakto, nie pamięta pan, przyrzekł pan mnie za...

Krzeptowski. Nie, nigdy!

Flora. Przyrzekł mi pan zaangażować.

Krzeptowski (odetchnął). Co? Chwała Bogu! myślałem, że coś więcej... zatem?

Flora. Wszak pan pamięta.

Krzeptowski (n. s.). Co ja poznać, żony tylko co nie widać. Ach to Zakopane!

Flora. Zatem engagement zapełnione.

Krzeptowski. Naturalnie!

Flora. O dziękuję, serdecznie dziękuję. Co do gaży, to już... to już umówimy się potem.

Krzeptowski. Tak, to potem.

Flora. Myślę, że trzy tysiące koron nie będzie za dużo?!

Krzeptowski. Nie będzie!

Flora. I po 6 koron od występu.

Krzeptowski. Tak od występu.

Flora. Kostyumów dostarczy dyrektor.

Krzeptowski. Naturalnie! naturalnie!

Flora. No i zaliczkę. — Mam pewne zobowiązania. Zatem 500 koron zaliczki.

Krzeptowski. Co? 500? (z nagłym postanowieniem). Dobrze dam 500 koron, ale pod jednym warunkiem.

Flora. Słucham.

Krzeptowski. Że pani dziś jeszcze wyjedzie do Warszawy.

Flora. Aha rozumiem, pańska stara jest zazdrosna. Dyrektorku bądź spokojny, znam się na tem, wyjadę dziś jeszcze.

Krzeptowski. Chwała Bogu! (dobrym pugilares). Oto 500 koron — proszę. (n. s.) Wszystko co z sobą zabrałem na drogę.

Flora. Muszę panu bez pochlebstwa powiedzieć, że podobnie pocztowego dyrektora teatru, jeszcze nie spotkałam w życiu.

Krzeptowski (n. s.). I ja nie.

Flora. To też muszę pana ucałować z całego serca (rzuca mu się na szyję).

SCENA XIII.

Dawni. — *Apolonia.*

Apolonia (wchodzi w drzwi i widzi co się dzieje).

Krzeptowski. Moja żona! Gwałtu co to będzie.

Flora. Cicho, uratuję cię. (gł.). Wielkomożny pan nie zabacy o nos.

Prosem piknie, dejcie się pocałować jescze roz.

Apolonia (weszła między nich). Meżu, co to za osoba?

Krzeptowski. To... to... tutaj.

Flora (dygając). Jo jestem gazdzina z Poronina.

Apolonia. Dziwne zwyczaje u was w Poroninie — zwyczaj — tak zaraz całujecie każdego spotkanego mężczyznę.

Krzeptowski. Nie trzeba tego brać zaraz z zlej strony. Moralność w górach stoi bardzo wysoko.

Flora. Ostańcie z Bogiem idę do roboty (śpiewa).

Idźcie, idźcie od ołtarza i t. d. (przesyła ręką całusy, wybiega do chaty).

Apolonia. O tych zwyczajach nie wspominałeś w swojej książce.

Krzeptowski. Trudno było o wszystkim pamiętać.

Apolonia. Odtąd już do Zakopanego sam nie pojedziesz.

Krzeptowski. Jak chcesz moja droga.

Apolonia. Dajno pokój tym słodyczom; jak tylko mężczyzna taki słodki jak ty w tej chwili, widocznie ma jakiś grzech na sumieniu.

Krzeptowski. O nie, moja droga, niemam nic na sumieniu, tylko mnie te cudowne góry tak rozkosznie usposabiają (śpiewa)

Idą se turystki oj od samych Tater, Deseyk ich pokropił, a wysuszył wiater.

(po chwili Apolonia wtóruje mu, biorą się pod ręce idą razem do chaty).

SCENA XIV.

Roman, Felicya, Wacia, Wojtek.

Roman (wdrapał się bardzo zmę-

zony). Auf... do jakich szaleństw miłość człowieka doprowadzić może. Drapię się po górach, chociaż ich nie lubię.

Felicya (z chaty z workiem i kijem). A otóż i nasz uczonec... Cóż pana aż tutaj sprowadza — nie jesteś pan przecie zwolennikiem górskich wypraw.

Roman. I to pani pyta mnie o to? Pani nie domyśla się.

Felicya. Nie.

Roman. Nie miałem ani jednej chwili spokoju od czasu, gdyśmy się tak smutno rozstali, bardzo mi to leżało na sercu i dlatego pragnąłem jak najprędzej pogodzić się z panią. Ale co widzę, pani się w góry wybiera?

Felicya. Tak!

Roman. Teraz po nocy, po tak niebezpiecznej drodze.

Felicya. Nie ma obawy.

Roman. Zaklinam panią, nie czyni pani tego!

Felicya. A to czemu?

Roman. Taka wyprawa teraz, to szaleństwo.

Felicya. Na szczęście jestem panią moich zachcianek — upodobań — tak postanowiłam i tak będzie.

Roman. Naraża się pani.

Felicya. Dla bezpieczeństwa biore przewodnika, idę z Wojtusiem.

Roman. To jeszcze gorzej — nie możecie przecież razem nocować.

Felicya. Pan jest nietylko troskliwy, ale i ubliżający.

Wojtek (zapatrzony w przyrzady). Prosem pięknie ik miłości, chodźmy.

Roman. Nie lękasz się w taką drogę iść z młodą, niedoświadczoną osobą?

Wojtek. Jo ta nie winowaty —

wirchy styrbne, to prowda, ale panienka kee, to pójde.

Felicya. Pójdziemy.

Wojtek. Jo sie ta nie wywale.

Roman. Słyszysz pani — sam przewodnik nie bardzo doradza.

Felicya. Musi być równie zajęczego serca, jak i pan.

Wojtek. Jo tu alegant nie jestem, coby m sie boł.

SCENA XV.

Dawni. — Kasia.

Kasia (z chaty). Wojtuś chyboj, gazda cie wołają.

Wojtek. Nimom casu. Chodźmy.

Kasia. Wojtek, chyboj do kumory! Niesłyszysz — o raty! przeraty.

Roman. Nie lękaj się, już ją czuwać nad nimi będę. (idzie za nimi).

SCENA XVI.

Krzeptowski, Stary Gąsienica, Apolonia, Wacia, Turyci, Turystki. (ubrani do drogi).

Stary. Kaska, wynieś worek z chałupy.

Kasia. Hnetki. (idzie do chałupy).

Krzeptowski. Zatem ściśle jak umówiono.

Stary. Uwozójcie se teraz co wam powiem. Jo pójde z Jaśkiem w góry, a wy chyłkiem poza chałupę dostaniecie się do wasej izby po tej drabinie.

Krzeptowski. I kiedy wszyscy będą myśleli, że drapię się na wielką Mordege, położę się w łóżko. Taki pomysł wart zachodu.

Apolonia (wnosi worek). Oto prowianty na drogę, może trochę ciężki co?

Stary. Juz on nie długo bedzie letki.

Apolonia. Meżu mój drogi, nie umiem tego wytłómaczyć, ale się czegoś lękam. Stary Gąsienica nagał mi tyle okropności o waszych górskich wyprawach.

Krzeptowski (z wyrzutem). Ej, stary! jak mogłeś niepokoić panią.

Apolonia. Gdyby nie wstyd, prosiłabym cię byś został. Nie uwierzysz jaki straszny sen miałam. Śniłeś mi się w białem prześcieradle, błądy, z połamanymi rękami i nogami jak straciwszy równowagę leciałeś w przepaść.

Krzeptowski. Sen mara, Bóg wiara — nie takie ja już wyprawy szczęśliwie odbywałem.

Kasia (wchodzi ze skrzyneczką). Mocie tu kruczynek, a w nim opatrunki. (daje staremu, odchodzi).

Krzeptowski. Z opatrunkami, a to na co?

Stary. Ha no przydarzyć się może, że gnaty poharatacie.

Apolonia. O! Janie Kazimierzu, jakże ciężką i niebezpieczną wybrałeś drogę.

Krzeptowski. Ale się z niej cofać nie pora. (wchodzi Szarotka, Wacia, turyści, turystki).

Szarotka. Bywaj!

Apolonia. Nie puszczę cię!

Wacia (chwytając go za drugą rękę). Pozostań, papeczko!

Krzeptowski. Niepodobna, moje drogie. Oczy całego Zakopanego są na mnie w tej chwili zwrócone. Sławy nie nabywa się tak łatwo. Dalej! na wielką Mordege! Obowiązek mnie woła. Bądźcie zdrowi — do widzenia. (wyrwa się im).

Apolonia. Widziałam go w śmiertelnej koszuli.

Stary (śpiewa).

Oj góry nase, góry
Oj to nase komory,
Oj bukowe listeck
Nase podusecki.

Wszyscy (spoglądają za odchodzącymi).

Apolonia. Chodź Waciu, mam jakieś dziwne złe przeczucia, odprowadzimy ich wzrokiem, aż znikną (idą w głąb, powiewając chustkami).

Szarotka. Niech pani weźmie moja lornetę, będzie można wygodnie ich widzieć, aż znikną za tą tam skałą. (zciemniło się — księżyc wschodzi bardzo jasno).

Apolonia (przez szkła). Przez ły nie nie widzę — spróbuj ty.

Wacia (przez szkła). Co za przeduczna noc miesięczna! Rozróżniam niemal każdy kamyczek!

Apolonia. Czy widzisz papę i staro Gąsienicę?

Wacia. Nie widzę mameczko.

Szarotka. Niech pani pozwoli, mam w tem pewną wprawę (przez szkła). Ach naturalnie, przechodzą koło samotnej jodły zawieszeni nad straszliwą przepaścią.

Apolonia. A ja jeszcze dotąd nie nie widzę.

Szarotka. Te dwa czarne punkty, ależ to nawet gołem okiem widoczne.

Wacia. Ale te czarne punkty się nie poruszają wcale.

Szarotka. To tylko złudzenie optyczne, ot teraz n. p. pan Krzeptowski dobywa się na wierzchołek.

(W czasie największego zaciekawienia *Krzeptowski* wyłazi z prawej kulis z I plan.).

Krzeptowski. Jak dotąd wszystko dobrze, tak się zajęli mojem prze-

ściem tam, że może tego tutaj nie spostrzegą.

Szarotka. O... w tej chwili jest już na szczycie.

Krzeptowski (dostał się do drabiny, skąd drapie się do okna). Sam nie wiem co trudniejsze, w każdym razie tu i tam karkołomna wyprawa.

Szarotka. Patrzenie państwo, zawisnął nad przepaścią pomiędzy niebem a ziemią. — Już stanął pewną nogą na twardym gruncie.

Apolonia. Dzięki Bogu!

Krzeptowski. A teraz tylko buch w okno i koniec. (włazi).

Szarotka. Pierwszorzędne zdziałanie turystyczne.

Krzeptowski. Dzięki niebu! udało się. (znika, zamyka okno).

Szarotka. Już mu teraz nic nie grozi.

Wacia. Przyznam się państwu, że nie a nie nie widziałam.

Szarotka. Ale myśmy wszystko dokładnie widzieli.

Apolonia. Chodźmy Waciu na spoczynek, chociaż czuję, że spać nie będę mogła, i ten sen straszny i te ostatnie emocje tak mnie zdenerwowały.

Wacia. I ja spać nie będę, mameczko.

Szarotka. Chodźmy i my, moi państwo, podobnego widoku nie mie-wa się często — chodźmy na sianko, górskie, woniące sianko. (wszyscy odchodzą, ogólny śmiech).

SCENA XVII.

Oksza, Wacia, Krzeptowski.

Oksza (wysuwa się z pod chaty). Chwała Bogu, że się wynieśli. Ciekawym czy dotrzyma słowa i przyjdzie. Tu na tej ławeczce nikt nas nie dostrzeże (siada).

Wacia (cicho z za chaty). Może źle czynię, ale nie mogłam inaczej. Tu wśród tych gór Zakopiańskich, rozstrzygną się dziś dalsze moje losy. A! kto to?

Oksza. Mój anioł stróż i całe moje szczęście (wstaje). Z serca pani dziękuje, żeś się przyjąć nie wahała.

Wacia. Właściwie nie powinna-bym tego uczynić.

Oksza. W zwykłych okolicznościach, może — lecz tu jest wyjątkowe położenie.

Wacia. W takich wypadkach najlepiej się powoływać na wyjątkowe położenie.

Krzeptowski (ukazuje się w oknie w nocnej koszuli i szlafmycy).

Oksza. Co mi najbardziej dolega, to to, że pani niema do mnie zaufania, a jednak mam najlepsze, najszlachetniejsze zamiary. Bóg czyta w mojem sercu i on tam z góry widzi jak bardzo kocham panią, panno Waciu.

Krzeptowski. To prawda, widzę tego literata z moją córką.

Oksza. Cóż mam uczynić, aby przekonać panią.

Wacia. Wierzę panu, wierzę.

Oksza (chwytając ją, całuje). O dziękuje ci za to słowo, stokrotnie, dziękuje! (całuje dużo razy). O teraz już chyba niemasz żadnej wątpliwości.

Wacia (uszcześliwiona). Co raz mniej!

Krzeptowski. Niechże go jasny piorun spali, to łotr.

Oksza (całując). A teraz?

Wacia (wniebowzięta). Kocham cię!

Oksza. Droga, najdroższa, ukochana moja, tyle szczęścia!

Krzeptowski. A ja tu siedzę jak głupi i słowa przemówić nie mogę. (z dołu słychać wołanie o pomoc).

Roman. Ratunku! pomocy!

Wacia (zrywa się). Co się stało? Co takiego?

Oksza. Kto woła ratunku?

Krzeptowski. A może to ja skończyłem w przepaść.

SCENA XVIII.

Roman, — Oksza, — Wacia.

Roman (wpada).

Oksza (naprzeciw niego). Co się stało?

Roman. Kobieta wpadła w przepaść, niema chwili do stracenia.

Wacia. Na miłość boską, przecież nie Fela.

Roman. Tak, panna Felicya — tak się zwykle kończą podobne szaleństwa.

Oksza. Biegnijmy z pomocą.

Wszyscy (wypadają z chaty). Spieszmy — pójdzmy.

Krzeptowski (z okna). Co się dzieje, co się dzieje! a ja tu jak pies na uwięzi! Ach, to Zakopane!

SCENA XIX.

Roman, Oksza, Apolonia, Wacia, Kasia, Szarotka.

Apolonia (w komicznym, nocnym ubraniu — prawie wszyscy tak jak się spać pokładli, chustki na głowie, siano we włosach — wypadają z chaty).
Apolonia. Boże! Boże! moja córka... a to zawsze tak bywa, gdy się starszych słuchać nie chce.

Wacia. Uspokój się mameczko. (W tej chwili właśnie gdy wychodzą, zjawia się Wojtek silnie światłem księżycą obłany, niosący Felicyę, którą składa z frontu na skałę — otaczają ich w koło).

Wojtuś. Nie bójcie się panienko, nimoże ze strachu, jeno się nabliże do niej, zaroz lepiej będzie.

Apolonia. Moje dziecko! moje dziecko.

Krzeptowski. Nie wytrzymam dłużej — urwę się.

Wojtek. Prosem piknie panienki (nachyla się — całuje Felicyę).

Roman. Zwaryowałaś człowiecze, jeżeli spełniłeś swój obowiązek jako przewodnik — to z tego nie wynika jeszcze...

Kasia. Oni się tak stowarzysyli ze sobą, lo tego Wojtuś do panienki taki śleobodny.

Felicya (podnosząc się z omdlenia). Zostawcie nas... Wojtek i ja zaręczyliśmy się — oddaję moją rękę mojemu wybawcy — mojemu drugiemu ja.

Apolonia. A tu jak na złość nie ma mojego męża. O Feluś! gdyby on to przeczuwał, jak duch zjawiłby się przed tobą, aby ci powiedzieć, jak niegodnie sobie postąpiłaś z nami.

Krzeptowski (z okna wylazł na drabinę w koszuli i szlafmycy — światło księżycy pada na niego). Fela, czyś ty oszalała.

Apolonia. Duch mojego męża w śmiertelnej koszuli. (pada zemdlna, ogólny chaos, śmiech i t. d.)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Dekoracja I aktu.

SCENA I.

Krzeptowski. — *Pankracy.*

Krzeptowski (przechadzając się, kończy opowiadanie). No i kiedy się tak nagle ukazałem, żona zemdlała z przerażenia, a resztę już łatwo możesz sobie dośpiewać w swej duszy.

Pankracy (siedzi w fotelu). Tembardziej, że wszyscy widzieli cię zawieszzonego na tej wielkiej Mordędzie... ale proszę cię, powiedz mi, jak się z tego wszystkiego wykrećiesz?

Krzeptowski. Powiedziałem, że uczyniłem to z rozmysłem, aby przeszkodzić schadzce mojej córki.

Pankracy. Nigdy ci nie zabraknie forteli.

Krzeptowski. I naturalnie skorzystałem z zamieszania, spakowałem się i natychmiast powróciłem do domu.

Pankracy. Uwalniając się w ten sposób raz na zawsze od tej dyabelskiej Mordegi.

Krzeptowski. Natomiast zyskałem jeszcze gorsze piekło w domu. Żona zła — Wacia wyje bezustanku. — Fela stała się jeszcze więcej upartą

i nieznośną jak zawsze. Ach to Zakopane, co ono mi narobiło kłopotu.

Pankracy. Już ten pomysł Feli, sprowadzić górala i przerobić go na kulturnego człowieka, jest z gruntu waryacki.

Krzeptowski. To mój pomysł.

Pankracy. Więc ty chyba oszalałeś.

Krzeptowski. To się tak tylko z pozoru wydaje. W tem sprowadzeniu go tutaj cała moja nadzieja. Znasz Fele — gotowaby się zawziąć i uciec z domu byle na swoim postawić — a tak tymczasem, powoli...

Pankracy. Może ty masz i rację.

Krzeptowski. Sama pozna, co to za szaleństwo.

Pankracy. Zawsze jednak ten góral trochę skompromitował panienkę, będziesz musiał powiększyć posag, a góralowi dać coś odczepnego.

Krzeptowski. O co to, to nie — za to jak nazywasz »odczepne« tem prędzejby się pobrali, trzeba pomyśleć o innych fortelach.

Pankracy. Ty zawsze masz rację.

Krzeptowski. Cicho, moja żona.

SCENA II.

Dawni. — Apolonia.

Apolonia (wzburzona wchodzi). Mężul... proszę cię, abys użył raz przebie swojej ojcowskiej powagi.

Krzepkowski. Z ochotą, co każesz, moja droga?

Apolonia. Dzień dobry, Pankracy. (do męża). Od czasu tej awantury z Okszą, jednej chwili z Wacią wytrzymać nie można.

Krzepkowski. Co sobie myśli ta koza — bądź spokojną — już ja jej powiem słowa prawdy.

Apolonia. Tylko proszę cię stanowczo, odbierz jej wszelką nadzieję. O tym bezwstydnym człowieku słyszeć nawet nie chcę, a prędzej mi włosy tu na dłoni wyrosną, niżli córki moje powydają za tych błaznów, którzy je opętali.

Krzepkowski (potwierdza, ale z pełną rezerwą). Hm, hm, hm.

Apolonia. Całe miasteczko wzięło nas na języki, wszędzie mówią o tym przeklętym góralu.

Pankracy. To prawda, dzieci nawet uganiają za nim, gdy się pojawi na ulicy.

Apolonia. Wczoraj pobił się z woznym w urzędzie podatkowym, — przedwczoraj wymyślał dorożkarza. Żona pana radcy widziała to wszystko, a ja byłabym się ze wstydu zapadła pod ziemię.

Pankracy. Bardzo wierzę.

Apolonia. Musisz mu stanowczo zapowiedzieć, aby się natychmiast wyniósł — taki wstyd, taka hańba dla naszego domu.

Krzepkowski. Ależ tak — naturalnie.

Apolonia. Może ty go się boisz?

Krzepkowski. Ja? bać się! to do-

bre!... Ale widzisz, ciężko mi jakoś wyganiać z domu człowieka, który mi tyle razy życie uratował z narażeniem własnego.

Pankracy (n. s.). On jest niewyczerpany w pomysłach.

Apolonia. Może ty masz rację, w takim razie ty to uczynić musisz.

Pankracy (cofając się). Ależ startłby mnie na proszek do zębów... dziękuję.

Apolonia. I to są mężczyźni, panowie wszelakiego stworzenia.

SCENA III.

Dawni. — Roman.

Roman (wchodzi szybko). Może państwu przeszkadzam.

Krzepkowski. Nie tylko nam pan nie przeszkadza, ale może nam być nawet bardzo użytecznym.

Roman. Spodziewam się, że nie jako lekarz.

Pankracy. To zależy — choć prawdę mówiąc, ty jesteś winien wszystkiemu.

Roman. Ja?

Pankracy. Nie poznałeś się na chorobie i z gruntu źle leczyłeś swoją pacjentkę.

Roman. O kim państwo mówicie?

Krzepkowski. O kimżeby, jeżeli nie o Feli.

Pankracy. Zamiast wziąć się ostro do rzeczy, pozwoliłeś, aby prosty chłop zdmuchnął ci ją z przed nosa.

Roman. Tak źle jeszcze nie jest, a jeżeli myślicie, że i dyagnoza i mój sposób leczenia były fałszywe — to się grubo mylicie. Pacjentkę obserwuję pilnie i lada chwilę oczekuję kryzysu.

Apolonia. Zatem przypuszczasz...

Roman. Pewność mam, że nie długo przywrócimy jej zdrowie. — Przedtem jednak nastąpić musi małeńka operacya.

Apolonia. Niechby się słowa twoje sprawdziły — z całym zaufaniem oddajemy jej los w twoje ręce.

SCENA IV.

Dawni. — Felicya.

Felicya. Jak się zdaje przychodzę w samą porę. Wielka rada familijna w komplecie.

Apolonia. Wstydu chyba nie masz. Żartujesz nawet wtedy, gdy my tracimy głowę przez ciebie.

Felicya. Facecye zupełnie niepotrzebne, nie jestem dzieckiem, wiem czego pragnę i sama przed sobą odpowiadam za to, co czynię.

Apolonia. Otóż właśnie, że nie — a dowodzi tego najlepiej ten szalony wybór górala.

Roman. Niech mi cioteczka łaskawie wybaczy, ale tym razem na to się nie zgodzę. Felicya jest pełnoletnią, ma przeto prawo rozporządzania swoją osobą, zaś znana jej energia i ta męskość jaką okazuje na każdym kroku pozwalają się spodziewać...

Felicya (zła). Nie pytałam pana o jego zdanie i bardzo uprzejmie, ale bardzo stanowczo proszę nie wtrącać się do moich spraw osobistych.

Roman. Przepraszam, pragnąłem tylko wyjaśnić cioci, że postępując tak, ma pani prawo za sobą. Pani kocha Wojtusia, chce zostać jego żoną i tego nikt jej zabronić nie może! Możliweby wprawdzie żałować go, jak się żałuje królika, na którym

odbywa się różne pouczające doświadczenia i wnioski, ale to już osobista sprawa jego wytrzymałości.

Felicya (wściekła). Ma pan dziwnie drażniący i arogancki sposób wyrażania się, dlatego nie więcej nie odpowiem nad to, że Wojtuś jest człowiekiem prostym, szczerym i prawnym, czego o wszystkich powiedzieć-bym nie mogła.

Roman. Niezawodnie, już to, że go pani nad innych przeniosła nieskończenie go dobrze zaleca.

Felicya. Panie... (odwraca się ze wzgardą).

Pankracy (cicho). No, teraz już wszystko popsuleś do reszty.

Roman (cicho). To tylko epizod mojej kuracyi.

Apolonia. Janie Kazimierz prze-mów ty do niej.

Krzepkowski. Tak... naturalnie... (n. s.). Co jej powiedzieć?

Apolonia. Niechże dowie się narzecie, kto tutaj panem domu.

Krzepkowski. Posłuchaj mnie Felicya... muszę ci powiedzieć..

Felicya. Słucham. (bardzo ostro spogląda na ojca).

Krzepkowski (n. s.). Jak ona patrzy na mnie (gł.). Otóż muszę ci powiedzieć, że zarówno ja, jak i twoja matka... To jest my oboje...

Apolonia (cicho). Ostrzej, surowiej.

Krzepkowski (n. s.). Jeszcze surowiej? (gł.) Jesteśmy oburzeni.

Apolonia. Ostrzej, surowiej.

Krzepkowski. Ale to bardzo oburzeni.

Apolonia. Ależ surowiej!

Krzepkowski (udając rozgniewanego). No moja kochana, jeżeli wiesz lepiej odemnie — to dokończ sama, ja się zrzekam tego zaszczytu.

Apolonia. Ależ zastanów się... ja

chciałam tylko... (oboje sprzecząc się wychodzą).

Pankracy. Spójrz tylko, do czego doszło w tym domu przez ciebie.

Felicja (następuje na niego). Co? i wujaszek z kazaniem?!

Pankracy (cofa się). Z tobą nie chcę mieć nic do czynienia, ale mój syn powie ci co myślę (wychodzi).

Felicja (p. ch.). Zatem słucham pana.

Roman. Ja pani nie mam już nic do powiedzenia.. dawniej miałem do tego prawo, jakie mi nadawało moje przywiązanie, moja miłość dla pani, ale dziś, gdy pani wybrała i pokochała Wojtusia (*Fela* odwraca się). O dziś raczej dobrowolnie narazi się pani na upokorzenie a nie zejdzie z obranej drogi. O czym się pani zamysliła? Czy w głębi duszy przyznaje mi pani odrobinę racji.

Felicja (stanowczo). Nie!

Roman. Więc szkoda dłużej z panią mówić. (słychać pukanie). Proszę wejść.

Marynia (wchodzi, zakrywa usta fartuszkim, pęka ze śmiechu). Pan Wojtuś. (wybiega).

SCENA V.

Fela. — *Roman.* — *Wojtek.*

Wojtuś (ustrojony wedle najświeższej mody — z wielką przesadą — wysoki kołnierzyk, duże mankiety, lakiery, laseczka). Prosem piknie, życie cęka w tem ubraniu je dobre, godne, ale nie wygodne!

Roman (wstrzymując śmiech). Za to pan wyglądasz bajecznie.

Wojtek (nie czuje się sobą, ruchy skrępowane). Ano kciołem sie ubrać, jeno tu pod syją ten kołmiz to psia

obroza i te krypcie tak mnie pieką, ze sie mało co nie wściekne (podnosi i maca nogę).

Felicja. Kto miał ten niemądry pomysł, kto ci poradził zrzucić twój strój narodowy?

Wojtek. Som kciołem, bo mi w góralskiem ubraniu było złe żyć u was w mieście.

Roman. I dobrze pan Wojciech uczynił, skoro ma odtąd pozostać między nami, należy zastosować się do naszych obyczajów.

Wojtek. Jeno te krypcie, to wielgo okfiaro, zeby je... (maca się po nich).

Felicja (wściekła). Czy Wojtuś nie czuje jak się strasznie ośmiesz?

Roman. Więc pani nigdy nie pozwoli zdjąć temu młodzieńcowi cuchy swoich ojców.

Felicja. To już do pana nie należy, przyjdzie czas i na to.

Roman. Z ciekawością będę śledził tę powolną przemianę, która się będzie odbywała pod wytrawnem kierownictwem pani.

Fela (w pasyi). Jesteś pan bezwstydnym doktorze i dłużej tego nie zniosę — zapowiadam panu.

Roman (n. s). Nadchodzi moment psychologiczny. (gł.). Jak pani powiedziała — »bezwstydnym«.

Felicja. Powiedziałam i powtarzam.

Roman. W takim razie jako człowiek honoru, zrozumie pani, że obelgi tej płazem puścić nie mogę — wyzywam panią i żądam natychmiastowego zadosyćuczynienia.

Felicja. Błażeństwo.

Roman. Nie pani — to tylko następstwa postępowania pani, a jeżeli się pani do tego zastosować nie będzie mogła, lub nie będzie chciała,

SCENA VI.

Wojtek, Stary Gąsienica, Marynia i Kasia.

Stary (wchodzi środkiem). Ham, jakisi pon — muse sie go przepytac. — Prosem piknie wasych miłości.. *Wojtek!* *Wojtek!* — to ty? Co oni z tobą zrobili? O rany! (pęka ze śmiechu).

Wojtek. Bez co sie tak śmiejecie?

Stary. Jakze sie nie śmiec, kie na zadku i na przodku takom oćwiare z cie zrobili.

Wojtek. Ino wos prose przestajcie.

Stary. Prosić mozesz, ale to brzycko, ze juz po wierchu obuwać sie nie kees.

Wojtek. Z panami zyjem, to po pańsku sie odziwom.

Stary. Nie bedzies ty długo ozlegowol sie między panami — panowie jak sie tobą nabawiom, to ci powiedzo: »Wojtuś, chyboj prec w góry«! Skoda twojej duse.

Wojtek. Eć dusa jako dusa — kiej uciekła to jako kciała, hytoł jej nie bedem (wybiega).

Stary. Ino ty chłopie baby słuchoj — to ci wse źle wyndzie (idzie do drzwi). Kaska, chodź ino tutok do izby.

Marynia, Kasia (wchodzą).

Kasia (ubrana odświeżnie). Jakoś to miasto mi się nie zdaje, łazem długo, ani trawy, ani owiec, ani wanty nijakiej nie widziałam, jeno ludziska zbijają, hej.

Stary. Strasno ci?
Kasia (rozgląda się). Nie boje sie... o, o, o, uwozocie jak tu cysto, pieknie, syćko cudeckie.

Stary. Ceko! Ino przyjdzie pon

przegra pani, tę tak dumnie podjętą walkę.

Felicja. O... nie lękam się tego.
Roman. Więc pani przyjmuje wyzwanie?

Felicja. Czy pan to mówi na serio.

Wojtek. Zaroz jo tu z nim skońcę. Chyboj pon z komory. — Azeby cie, te kierpce zatracone. (chce iść, chwyta się za nogę).

Felicja. Proszę cię, nie wtrącaj się do tego.

Roman. Czekam na odpowiedź pani.

Felicja. Ależ to niema sensu.

Roman. Z punktu widzenia kobiecego, tak, ale nie z ogólnoludzkiego. Pani przyjmuje wyzwanie? tak? czy nie?

Felicja. Chyba po to, aby się przekonać, dokąd pan ten niesmaczny żart doprowadzi. Dobrze, przyjmuję. Pokażę panu, że kobieta się nie lęka wystąpić z bronią w rękę w obronie swoich przekonań. Urządzeniem spotkania pan się zajmie.

Roman (formalnie). Dziękuję — idę postarać się o broń, a za pół godziny będę z powrotem. (ukłon). Pani! — a przepraszam — panie.

Felicja. Żegnam!

Roman (wychodzi).

Wojtek. Prosem piknie panienki. Cemuz to nie daliście abym tego łatkę z izby prec wygonił, azby sie wykopyrtnił... A moze panienka sie labiedzi, zem go nie prasnał.

Felicja. Proszę załatwienie tej sprawy mnie samej pozostawić. (wychodzi).

Wojtek (zdziwiony). Hej? Juz to baba jak baba, wse chłopu wywiedzie, zrobi nieszczęście co strak, a ty chłopie pote pokutuj.

wielkomożny, to bede nukoł, aby cie do służby przyjął.

Kasia. Ka keecie... bo jo nie zdoli wracać do domu.

Stary. Juz ci nose góry! nose wirchy nic pote?

Kasia. Nie góry, tatusiu, nie góry, jeno mi bez tego Wojtusia wielkie niesczęście zyc.

SCENA VII.

Dawni. — *Krzeptowski.*

Krzeptowski (wchodzi z lewej).

Stary. Niech bedzie pochwołony!

Krzeptowski. Szczęść Boże! Jak się macie stary — i Kasię zabraliście ze sobą.

Stary. Prosem piknie, nie gniwojcie sie, zem i dziewuche przywióz.

Krzeptowski. No no, bardzo się cieszę, że znów widzę was oboje (n. str.). Djabli mi ich tu przynieśli.

Stary. Prosem piknie wielkomożnego pana, my tu z prośbą.

Krzeptowski. Mówcie śmiało i krótko.

Stary. Ten pon Oksza...

Krzeptowski (drgnął n. s.). Ach ten łotr.

Stary. Co to?

Krzeptowski. Nic nic, mów dalej.

Stary. Ten pisarek.

Krzeptowski. No cóż?

Stary. Cóż to pon wielkomożny se tak hipko podskakujom, jakby go postrzelili.

Krzeptowski. Nic, nic. — Zatem ten pan.

Stary. Ten pisarek pedzioł nom, ze wielkomożny pon jest derechorem kumedjantów, to wiele moze, a ze Kasi w górach teraz luto sie stało bez Wojtusia, przyslima nukać, aby

wielkomożny pon Kasi do jakich komedjasów zapisoł, choćby na kucharke.

Kasia. Prosem piknie ich miłości.

Krzeptowski. Mój kochany baco, pan Oksza (wymawiając to nazwisko skoczył), ten pan mylnie cię poinformował, ja nie jestem dyrektorem żadnej jak nazywasz komedjalni — ja jestem dyrektorem towarzystwa akcyjnego.

Stary. To ta syćko jedno!

Krzeptowski. Nie bardzo!

Stary. A skodaby wielgo była, zeby dziewucha skapiała.

Krzeptowski. Ależ moi kochani, do grania komedjasów trzeba mieć zdolności.

Stary. Ona mo! Ona mo wielgom ochote! U nos w Zakopany pod Gwiazdą, to Kasia udawała kiejsi wielgom gazdzinę, i tak setnie wywijala ogómem, ze som pon nauczyciel pedzioł, ze moze iść do komedjasów! Hej.

Krzeptowski (nagle). Czy tak, słuchaj dziewczyno, a gdybys tu teraz taką zagrała komedye, aby ten twój głupi Wojtus powrócił do ciebie.

Kasia. Cy jo to nadom sie do tego.

Krzeptowski (n. s.). Gdyby się to udało, córka moja byłaby ocaloną.

Stary. Próbować mozes, tyś ta nie tako głupio.

Krzeptowski. Widzisz, Wojtek się przebrał po miejsku i wygląda jak nieboskie stworzenie — żeby mu tak tem samem zajechać i pokazać, jaką małpe zrobił ze siebie.

Kasia. Prosem piknie, keiałaby jo Wojtusia od tej panienci wyrehylic.

Krzeptowski. Trzeba spróbować, córki moje przebiorą Kasię w swoje suknie — nie święci garnki lepią.

(woła w drzwi na lewo). Waciu! Waciu! chodźno tu.

SCENA VIII.

Dawni. — *Wacia.*

Wacia. Słucham, papeczko. — Co widzę, stary gazda i Kasia przyjechali do nas. Co za niespodzianka. (wita ich podaniem ręki).

Stary. Ano! Luto sie zrobiło dziewuse za Wojtkiem.

Wacia. Cóż was tu sprowadza?

Stary. Ano bida! Wojtek nom sie przepokopyrtnął z rozumem do kszty.

Krzeptowski. Zaprowadź ich do siebie — już ci tam opowiedzą resztę — tylko żywo, proszę cię żywo (odchodzą).

SCENA IX.

Krzeptowski, Marynia, Oksza.

Krzeptowski. Jeśli i to nie pomoże, wszystko przepadło.

Marynia (wchodzi, wręcza mu bilet).

Krzeptowski (drgnął). Powiedz temu panu, że wyjechałem, że umarłem, że mnie pochowano, powiedz co ci się podoba, ale go tu nie wpuszczaj, tego mi jeszcze brakowało.

Oksza (wchodzi i skinieniem odprawia Marynię). Niech się pan uspokoi — my się musimy porozumieć, to panu nic nie pomoże.

Krzeptowski. To nadto śmiało, mój panie.

Oksza. Jeżeli tylko prowadzi do celu.

Krzeptowski. Nie pojmuję doprawdy.

Oksza. Zaraz panu wszystko wy-

jaśnie — ale proszę niech pan siada, kochany dyrektorze.

Krzeptowski (n. s.). Bezczelny człowiek... (jadowicie). Skoro pan pozwala (siada).

Oksza. Niech pan będzie zupełnie jak u siebie w domu.

Krzeptowski (n. s.). Bezwstydnik. (gł.) Czego pan żąda właściwie?

Oksza. Ręki pańskiej córki.

Krzeptowski (zerwał się). Pan oszalał!

Oksza. Niech się pan nie rzuca, musimy ze sobą spokojnie pomówić.

Krzeptowski. Ja nie mam z panem nic do gadania, proszę mój dom natychmiast opuścić.

Oksza (wstał, bierze kapelus).

Ha!... Jeśli to pańskie ostatnie słowo, — dobrze. Przeszedłem tu w najlepszych zamiarach, aby prosić o rękę pańskiego dziecka, bo z mojem dzieckiem obszedłeś się pan niegodziwie — pragnę uniknąć tego wyrażenia: po złodziejsku! Jeżeli nie chce pan sprawy załatwić ugodowo, przejdziemy na drogę prawa, która będzie dla pana o wiele nieprzyjemniejszą.

Krzeptowski (n. s.). Zarznął mnie bez noża (gł.). Widzi pan rzecz — bądź co bądź warta namysłu (zatrzymuje go, wskazuje mu krzesło).

Oksza. Tego też pragnę gorąco.

Krzeptowski. Ściśle biorąc, rzecz cała polega tylko na nieporozumieniu, ale proszę, niech pan siada.

Oksza. Bardzo chętnie, jeżeli dobrze zrozumiałem, szanowny pan nie odmawia mi ręki panny Waci.

Krzeptowski. Ja... to jest... co do mnie.

Oksza. Zatem w zasadzie, zgoda?

Krzeptowski. Ależ nie... to jest tak, tylko, że moja żona.

Oksza. O... jeżeli tylko pańskie przyzwolenie mieć będę, reszta się złoży z łatwością.

Krzepkowski. Nie koniecznie panie — ona panu tej komicznej matki nie wybaczy do końca życia.

Oksza. W takim razie będę zmuszony sam pomówić z szanowną panią — opowiem jej dlaczego to uważałem pana za dyrektora teatru, w jakich poznaliśmy się warunkach i wyjaśnię, że w moich słowach nie było nic dla niej ubliżającego.

Krzepkowski (ogłada się). Panie, panie, tylko bez tych niemądrych dowcipów — zastanów się pan, pomyśl pan (przymila się).

Oksza. W takim razie będzie pan łaskaw sam przedłożyć i gorąco od siebie poprzeć moją sprawę.

Krzepkowski. Dobrze! uczynię co tylko w mojej mocy, ale zastrzegam sobie zupełną dyskrecyę.

Oksza. Na to ma pan moją rękę i uroczyste słowo.

Krzepkowski. Ale niech nas pan opuści, aby go moja żona nie spostrzegła.

Oksza. Tym razem wychodzę z ochotą, uprzedzam jednak, że za godzinę powrócę po stanowczą, a spodziewam się, że pomyślną wiadomość.

Krzepkowski. Dobrze, dobrze. (wyprawia go ku drzwiom).

Oksza. Zatem do widzenia.

Krzepkowski. Żegnam pana. *Oksza* wychodzi). No a teraz co? to coś gorzej jak wielka Mordęga — ach moja żona, odwagi i zimnej krwi.

SCENA X.

Krzepkowski. — *Apolonia.*

Apolonia (z książką i listem). Jestem niesłychanie oburzona.

Krzepkowski. Cóż się stało, moja droga?

Apolonia. Wyobraź sobie, ten bezwstydnym literat Oksza, ośmiela się pisywać do Waci. Spójrz tylko.

Krzepkowski (n. s.). Co to będzie? (gł.). Jakto, tak poza plecami rodziców?

Apolonia. Zdziwisz się jeszcze bardziej, gdy przeczytasz co pisze.

Krzepkowski (czyta). »Najukochańsza Waciu!« — no to jeszcze pół biedy.

Apolonia. To dopiero początek — czytaj dalej.

Krzepkowski. »Donoszę ci, że dziś jeszcze oświadczę się twemu ojcu i mam wszelkie powody ufać, że mi nie odmówi.

Apolonia. O... to się bardzo zawiedzie.

Krzepkowski. Tak, tak, zawiadzie. — »Całą moją duszą wyrzynam się do ciebie, a tem się tylko pocieszam, że już niezadługo będziemy na zawsze razem. Równocześnie posyłam ci moją ostatnią książkę, która i twego kochanego ojczulka bardzo zająć powinna«. (n. s.) Jadowita bestya. »Ściskam cię i całuję krocie razy. Twój Jan Oksza«.

Apolonia. No i co ty na to?

Krzepkowski. List bardzo porządnie napisany.

Apolonia. Ależ mnie nie o stylistykę chodzi. Jakto, nic więcej nie masz do powiedzenia?

Krzepkowski. Moja droga, ja cię doprawdy nie rozumiem, czemu się tak uprzedziłaś przeciwko temu Okszy.

Apolonia. I ty pytasz jeszcze? Czy zapomniałeś, co ten człowiek mi powiedział?

Krzepkowski. Wcale nie zapomniałem, ale było to tylko nieporo-

zumienie. Wziął mnie za dyrektora teatru, a ciebie za dramatyczną artystkę.

Apolonia. O przepraszam, nazwał mnie komiczną matką.

Krzepkowski. Ależ moja matko, nie bądź też naprawdę komiczną. Powtarzam ci czyste nieporozumienie... i dla takiego głupstwa zawiązywać los własnemu dziecku.

Apolonia. Nie, nigdy na to nie zezwolę — nigdy!

Krzepkowski. Zastanów się tylko. Jest redaktorem, ma imię głośne w literaturze.

Apolonia (wybucha śmiechem). I... ten pan redaktor i głośny literat życiem odpisał i wydał za swoje, twoje wrażenia z gór.

Krzepkowski (n. s.). Coraz lepiej, *Apolonia* (podając). Spójrz tylko — dosłownie odpisał.

Krzepkowski (bardzo zaniepokojony). E... bo to widzisz... w naszym fachu, zdarza się to często mimo woli — tak jakoś czasem się złoży, zbyt ściśle tego brać nie można.

Apolonia. Ależ powtarzam ci: dosłownie.

Krzepkowski (jeszcze bardziej pomieszany). Mogło się to jemu wydarzyć, mogło też i mnie — czasami bywa taka niewytłomaczona wspólność myśli, ktoby tam tego dochodził — mogłem też i ja użyć tych samych zwrotów.

Apolonia. Ty? nigdy!

Krzepkowski. Nie trzeba ludzi sądzić surowo, cóż na tem komu zależy... co komu z tego przyjdzie, gdy się potępi bliźniego. Powiem ci tylko... ale się tem zbytnio nie przerażaj — jego książka wyszła wcześniej od mojej.

Apolonia. Co chcesz przez to powiedzieć?

Krzepkowski. Powiedzieć?... Ja bym nic nie chciał powiedzieć, ale to trudno, muszę... mylisz się, rzecz miała się wprost przeciwnie — rozumiesz mnie, to ja (nie wiedząc co dalej powiedzieć, wymachuje zabawnie rękami).

Apolonia. Janie Kazimierzu!... więc ty?...

Krzepkowski. No tak... niby... tego.

Apolonia. Więc ty jego dzieło przepisałeś.

Krzepkowski. Tak, ja jego.

Apolonia. Wielkie nieba! Plagiator! — Ja jestem żoną plagiatora. (wybucha płaczem). Taki wstyd, taka hańba, takie upokorzenie. (wybiega).

SCENA XI.

Krzepkowski, Marynia, Szarotka.

Krzepkowski (odetchnął). No zważyłem kamień z serca.

Marynia. Pan Szarotka.

(*Szarotka* wchodzi).

Krzepkowski. I ten jeszcze potrzebny.

Szarotka. Jakżeż zdrowie szanownego pana.

Krzepkowski. Dziękuję, mam się doskonale.

Szarotka. Przychodzę tu w imieniu sekcji odczytowej naszego towarzystwa z prośbą, byś pan był łaskaw na najbliższym naszym zebraniu wystąpić z odczytem.

Krzepkowski. Przepraszam pana, ale miałem ważne powody i zerwałem raz na zawsze z turystyką.

Szarotka. Czy podobna — ależ to wprost niemożliwe.

Krzepkowski. Dla mnie zaś było jedynie możliwe.

SCENA XII.

Dawni, Stary, Kasia.

(Środkiem wchodzi Stary z *Kasią* ubraną w silnie dekolowaną suknię balową, która jej w ruchach ogonem zawadza i obnażeniem zawstydza).

Stary. No! Teraz się Kasia może już kamracić z panami. Hej?

Krzepkowski (spogląda na jej gors, emoka). O naturo! naturo! (n. s.). Takich biustów w mieście niema!

Stary (zakrywa jej gors chustką). Niechże pon wielkomożny nie pogląda się... zakryj se smatką.

Kasia. Cóż mi pon tak patrzy na podółek.

Stary. Abo teraz Wojtusia chyci, abo i nie chyci.

Krzepkowski. Muszą się jednak zejść przypadkiem, aby Wojtuś nie zmiarkował podstępu. Chodź stary, wypijemy za ich powodzenie.

Stary. Wse wypić nalepiej (obaj wychodzą).

SCENA XIII.

Kasia, Szarotka, Wojtek.

Szarotka. Jak ona w tem ubraniu wygląda — można oszaleć — (gł.) Kochana panno Katarzyno, od czasu gdyśmy się ostatni raz widzieli, niesłychanie pani wyładniała.

Kasia (zakrywa gors chustką, wypadła z roli). Chybojcie z kumory, bo jak wos prasnę.

Szarotka. Ależ panno Katarzyno, pragnę was zapewnić, że serce moje.

Kasia. Cegój kcecie odemnie (idzie, potyka się).

Szarotka. Panno Katarzyno, całe moje serce tobie oddać pragnę, bo i któż może się oprzeć tyłu wdziękom (całuje ją w rękę).

Kasia. Hudobny panie nie banujcie.

Wojtek (wchodzi środkiem, chwilę patrzy na nich).

Szarotka. Ależ ja pragnę pannie Katarzynie wyrazić moje najgorętsze uwielbienie.

Kasia. I lo tego bośkocie mnie po rękach?

Wojtek (cicho). O rety, przerety. Cy to Kaśka cy nie?

Szarotka. A może w rękę to za mało (chce ją objąć).

Kasia. Cóż mnie chytocie bez poly?!

Szarotka. Pragnę na ustach twych koralowych (chwytą ją w pół).

Kasia. Odcepcie się odemnie.

Wojtek (n. s.). Cóż ten zbereźniowy kee od Kasi, jak go prasne, będzie zberceć zębami.

Szarotka (natarczywie). Ale zastanów się moja droga, nie wymagam znów zbyt wiele, a obojgu nam wielkie przyniesie korzyści... moje uwielbienie dla ciebie...

Wojtek. Idźże sobie hudobny łatko, bo jak chyce za łeb, to kości nie bedzies mógł nańść.

Szarotka (z początku arogancko). Jak ty śmiesz... (widząc go bardzo złym odrazu zmienia ton) to jest, ja właściwie nie wchodzę państwu zupełnie w drogę, moje uszanowanie. (żywo wychodzi środkiem).

SCENA XIV.

Kasia. — Wojtek.

(Długa pauza, oboje spoglądają na siebie).

Wojtek. Kasiu, cóż ty za oćwiare brzyćką ze siebie zrobiłaś.

Kasia. A ty nie hańbis się w takich smatach chodzić

Wojtek. A ty po co te fałregi nosis. Syćko ci do imentu widać — cały podółek ci wyłazi.

Kasia (wskazując na kołnierzyk). A tobie jak u Wiernusia nasego obrozo zawodzo.

Wojtek. Kasiu — wis ty, co my, jako te małpy na jarmarku patrzymy.

Kasia. Hej.

Wojtek (nagle). Po co ty do miasta się ponagliła i w tych fałregach łazis?

Kasia. Lo cego? Bo mi sie tak chce.

Wojtek. Ale jo nie chce cobyś ty hańbiła się.

Kasia. A tobie co hyrny Wojtku do mnie, teraz tak mi sie widzieć kce.

Wojtek. Kasiu, co ty pedziała... tak do mnie mówis — ejze bo jak cie pacne.

Kasia. Kiej ty sie nie hańbis oćwiare robić, to i mnie wolno.

Wojtek. Widzisz, no mnie przysto takie opętanie i muse cierpieć.

Kasia. Keioleś sie panience z miastą nadutkować, zabaczyeś o mnie.

Wojtek. Hej zabaczyeś. Tak to casem Pon Jezus ukorze cłeka. Ale mi to syćko obmierzłe, na sercu tak ciężko. Bazi mi sie za górąmi, za owieckami, za halami... Hej!...

Kasia. Wojtuś wróciłbyś do domu?

Wojtek. Hej.

Kasia. A cóż będzie z tom panienkom coś ją zalubił? Tak ślicnie wonieje...

Wojtek. Jo jej ta wonieć nie kce. Niech ją ta chto inny wonieje.

Kasia. Mój Wojtusiu, to ci juz

ten kliniec z głowy wylecioł, kces do domu koniecznie?

Wojtek. Straśnie mi sie cni za domem. Jeny ty nie wróciś, co jo bez ciebie pocne.

Kasia. Nie bój sie, te fałregi, te smatecki oddom panience, ale ciebie to chycili i nie puscom gazdowie.

Wojtek. Niech próbują! Cóż to, przeciez nie jestem ich pacholek. Jaki oni do mnie wolor mają.

Kasia. Ale ci zol będzie za temi cudeckami w mieście.

Wojtek. Kasiu, co tez pedos, mnie zol. Hej!

Kasia. Tej psiej obrozy, coś Wiernusiowi chycił.

Wojtek. Mnie zol tej kwardej smatecki, co mnie dusi jak dziwotwór.

Kasia. Bedzies banować za miastem.

Wojtek. Nie bede.

Kasia. Nie wierze.

Wojtek. Musis.

Kasia. Muse, jaki ty mos wolor do mnie.

Wojtek (w pasyi). Mom Kasiu, bom cie zalubił na całe zycie. Prosem cie koziombecko nie mów tak do mnie, bo jak sie ozpajedze, to cie tak prasne, ze sie nie pozbiros.

Kasia. Wojtek, ty scyrom prowde mówis, ześ mnie mocno polubił, o mój Wojtusiu, dyć jo takze bez ciebie żyć nie moge.

Wojtek. Moja ty koziombecko, moja ty owcarko, pódzies ze mna.

Kasia. Cóżbyk z tobą nie miała iść, na wanty, na wirchy, na koniec świata póde, mój Wojtusiu.

Wojtek. Mój ty chrobocku jedyny, nijakiem światem cie nie opusce.

Kasia. (śpiewa).

Wantule, wantule, wesoło mi grajcie, Kiej jo se zaśpiwom, to mi odpadajcie.

(Tańczy, uderzając komicznie butami o podłogę, chwyciwszy Kasie za ręce).

Kasia (wyrwała mu się, zadziera ogon sukni — staje naprzeciw — tańczy, poczem rzuca się na szyję *Wojtkowi*, oboje całują się — na to wchodzi *Felicya*).

SCENA XV.

Dawni. — Felicya.

Felicya. Wojtuś, co to takiego? Kto jest ta pani?

Wojtek (pomieszany). Ano, *Kasia*.

Felicya. Czego chce tutaj?

Wojtek. Cego kce? Prosem piknie, luto sie jej zrobiło za mną i przysła obacyć.

Felicya. Przysła tutaj do naszego domu.

Kasia. Ano przysła i godnie zrobiłam, bo *Wojtuś* jest mój, nie lo vos.

Felicya. Więc twoje zapewnienia, przysięgi?

Kasia. Prosem piknie panienki, *Wojtuś* banował, jakiś carownik go otumanił, ale juz teraz ozdrowiał.

Wojtek. Bóg świeci ozdrowiał, kcioł jo panience juz downo o tem pedać, ale tak mi cosi kajszi za garło ścisnęło, tak mnie coś wodziło, jak w lesie od złego ducha. Przysła tu litościwo dusa i z lasu cimnygo wyprowadziła, jo tego do śmierci jej nie zaboce i lo tego nie gniewojcie sie na mnie, ze pódę do mojej chałupy z mojom *Kasiom*.

Felicya (po ch. walki). Idź z *Bogiem* i bądź szczęśliwym gdy zdołasz.

Kasia. Prosem piknie panienki,

szczęście w górach jest wielgie, — lo nos i lo vos bedzie lepiej teraz.

Felicya. Może ty masz i raecy, mówiąc, że tak będzie dla nas wszystkich lepiej.

Wojtek. *Kasiu*, kie isć, to isć, a te smatecki i fałregi oddomy gazdom.

Kasia. Hybojmy, hybojmy. (chce pocałować *Felę* w rękę — ta nie pozwala, oboje kłaniają się i wychodzą).

SCENA XVI.

Roman. — Felicya.

(Słychać pukanie).

Felicya (zrywa się). Proszę wejść.

Roman (z komiczną powagą — w rękę dwie szpady). Przynoszę broń, i mam nadzieję, że postanowienia swego pani tymczasem nie zmienia.

Felicya (bierze, ogląda z przerażeniem). Więc pan chciałby istotnie naprawdę?

Roman. A pani? czyżby pani chciała stchórzyc? (nacierają na siebie trochę komicznie, lecz bez przesady, bo oboje umieją władać bronią, po kilku złożeniach *Romanowi* wypada szpada z ręki — chwytą się za pierś i tyłem usuwając się pada na fotel — *Felicya* niesłychanie przerażona).

Roman. Jestem raniony — Boże! o!o!o!

Felicya (wypuszcza szpadę, nachyla się nad nim). Na miłosierdzie Boskie! co się stało? co uczyniłam.

Roman. Tu... tu... (z przesadą) Ah!

Felicya (z rozpaczą). Panie *Romanie*! Panie *Romanie*.

Roman (słabym głosem). *Feluś!* (gdy ona nie widzi uśmiecha się chytrze).

Felicya. Boże mój! Boże! co się stało... *Romanie*! Kochałam go i zabiłam!... *Ratunku!*... pomocy.

SCENA XVII.

Wszyscy wpadają.

Roman (zrywa się).

Krzęptowski. Sądząc z wołania o ratunek operacja nie musiała się odbyć bez bólu.

Roman. Ale w każdym razie ze skutkiem.

Felicya. Więc ja nie zraniłam pana?

Roman. I to głębiej, niż pani przypuszcza.

Felicya. Panie *Romanie*, godziło się tak ze mną postąpić, tak mnie nieszlachetnie podejść?

Roman. Na wojnie, jak na wojnie.

Felicya. Oto twój jeniec wojenny. »Finis coronat opus«. (*Roman* chwytają ją w objęcia).

SCENA XVIII.

Dawni. — Oksza.

Oksza. Czy nie przeszkadzam państwu?

Krzęptowski. Ależ nie, nie, przeciwnie.

Oksza. Czy szanowna pani jeszcze mi jest niezyczliwą?

Apolonia. Czy pan umie milezc?

Oksza. Jak grób.

Apolonia. Więc niech wam Bóg błogostawi. Niech pan zabiera *Wacię*!

Wacia. Ach to *Zakopane*, wiele ono mi szczęścia przynosi. O droga *mateczko*!

Krzęptowski. Mnie ono szczęścia nie przyniosło.

Oksza. Bo pan w niem nigdy na prawdę nie był. (wychodzą *Stary* i *Wojtuś*).

Stary. Prosem piknie, pójdziemy na *Orlą Perć*?

Krzęptowski. Oh! Do razu sztuka! (*Zasłona spada*).

K O N I E C.



133843

118552

NOWE MODY

DWUTYGODNIK DLA PAŃ

wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

== PRENUMERATA WYNOŚI ==

kwartalnie Koron 3.—, z przesyłką Koron 3.60

półrocznie „ 6.— „ „ 7.20

całorocznie „ 12.— „ „ 14.40

== Numer pojedynczy kosztuje 50 halerzy. ==

Okazowe zeszyty „NOWYCH MÓD“ przesyła na żądanie
gratis i franco

Księgarnia H. Altenberga we Lwowie.

KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA WE LWOWIE

essa poleca swoją essa

WYPOŻYCZALNIĘ KSIĄŻEK

która obecnie znajduje się w osobnym lokalu
przy ul. Kl. Tańskiej

Wypożyczalnia została znacznie powiększoną

Zawiera wszelkie nowości belletrystyczne w języku
polskim, francuskim, niemieckim i angielskim. ☞☞

Warunki abonamentu: WE LWOWIE: a) Abonament dzienny
na jedno dzieło: Kaucya K 2, opłata
dzienna 20 hal. — b) Abonament miesięczny na jedno dzieło: kaucya K 2,
opłata miesięczna K 1. — c) Abonament miesięczny na dwa dzieła: kaucya
K 4, opłata miesięczna K 2. — NA PROWINCYI: Abonament na 10 dzieł:
Kaucya K 12, opłata miesięczna K 4.

Koszta przesyłki ponosi w całości Abonent.

☞☞ Katalog Wypożyczalni, obejmujący spis książek polskich,
francuskich i niemieckich do nabycia za cenę 60 halerzy.

DLA TEATRÓW AMATORSKICH

POLECA

KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA WE LWOWIE.

BIBLIOTEKĘ TEATRÓW AMATORSKICH.

Nr.		K. h.
1.	Nowożeńcy, komedia w 2 aktach Björnsona	— 80
2.	Kalosze, komedia w 1 akcie J. A. Fredry	— 80
3.	Kaprys, komedia w 1 akcie Alfr. de Musset	— 80
4.	Przezorna mama, komedia w 3 aktach J. Blizińskiego	1 40
5.	Na wędkę, komedia w 1 akcie	— 80
6.	Spudłowali, komedia w 1 akcie Kazimierza Zalewskiego	— 80
7.	Pan Damazy, komedia w 4 aktach przez Blizińskiego	2 —
8.	Zarzutka balowa, komedia w 1 akcie pp. Delacour i P. Roger	— 80
9.	Podróż pana Perichon, komedia 4 aktach pp. Labiche i Martin	1 60
10.	Panna Pivert, komedia w 2 aktach z franc. Achilesa Eyraud	1 20
11.	Mąż od biedy, komedia w 1 akcie przez J. Blizińskiego	— 80
12.	Teatr amatorski, komedia w 2 aktach Bałuckiego	— 80
13.	Wróble, komedia w 3 aktach pp. Labiche i Delacour	1 60
14.	Chleb ludzi bodzie, komedia w 1 akcie J. Blizińskiego	— 80
15.	Morderca, komedia w 1 akcie, z francuskiego przez E. About	— 80
16.	Bańki mydlane, komedia w 2 aktach pp. Labiche i Martin	— 80
17.	Marcowy kawaler, krotoczwila w 1 akcie J. Blizińskiego	— 80
18.	Miodowe miesiące, komedia w 2 aktach M. A. Dejskiego	1 20
19.	Pałacyk, komedia w 1 akcie z franc. pp. Meilhac i L. Halévy	— 80
20.	Po kweście, fraszka w 1 akcie oryginalnie napisana przez Sulislawa	— 80
21.	Takich więcej, komedia w 2 aktach W. J. Wdowiszewskiego	1 20
22.	Rozbitki, komedia w 4 aktach przez J. Blizińskiego	1 60
23.	Tatusz pozwolił, komedia w 1 akcie Mozera	— 80
24.	Sto tysięcy (Jedenkroć), komedia w 1 akcie L. Madeyskiego	— 80
25.	Moja córeczka, kom. w 1 akcie Labiche'a przełożył Walewski	— 80
26.	Dom otwarty, komedia w 3 aktach Bałuckiego	1 60
27.	Skowronek, komedia w 1 akcie E. Gondineta	— 80
28.	Chwała Bogu, stół nakryty, komedia w 1 akcie L. Gozłana	— 80
29.	Złoty cielec, komedia w 1 akcie przez St. Dobrzańskiego	— 80
30.	Tajemnica, fraszka scenicz. w jednej odsłonie przez St. Dobrzańskiego	— 80
31.	Podejrzana osoba, komedia w 1 akcie St. Dobrzańskiego	— 80
32.	Ciotka na wydaniu, komedia w 1 akcie J. Blizińskiego	— 80
33.	Onufry, komedia w 1 akcie przez St. Dobrzańskiego	— 80
34.	Kajcio, komedia w 1 akcie przez St. Dobrzańskiego	— 80
35.	Zaślubiny z przeszkodami, komedia w 1 akcie E. Labiche'a	— 80
36.	Zywy nieboszczyk, komedia w 1 akcie G. Belly	— 80
37.	Filizanka herbaty, komedia w 1 akcie z francuskiego	— 80
38.	Przysięga Horacego, komedia w 1 akcie H. Murger	— 80

Rapacki Wincenty: PRZEWODNIK DLA TEATRÓW AMATORSKICH. Do użytku
osób takowe urządzających i w nich udział biorących. Cena Kor. 2.

39. Postrzelony , komedia w 4 aktach A. Wiesiolońskiego	1 60
40. Opiekun w zalotach , komedia w 2 aktach J. Blizińskiego	1 60
41. Wacek i Wacek , komedia w 4 aktach Z. Przybylskiego	1 60
42. Państwo Wackowie , komedia w 4 aktach Z. Przybylskiego	1 60
43. Monologi , zeszyt pierwszy	— 80
44. O Józie , fraszka sceniczna w 1 akcie M. Bałuckiego	— 80
45. Na przystanku , komedia w 1 akcie napisał Czesław Pieniążek	— 80
46. Biały wachlarz , komedia w 1 akcie napisał Czesław Pieniążek	— 80
47. Monologi , zeszyt drugi	— 80
48. Tyran z miłości , komedia w 1 akcie Ed. Gondineta	— 80
49. Ciocia Femcia , komedia w 1 akcie Madejskiego	— 80
50. Monologi , zeszyt trzeci	— 80
51. Kuzynek , komedyjka w 1 akcie M. Bałuckiego	— 80
52. Bilecik miłosny , komedyjka w 1 akcie M. Bałuckiego	— 80
53. Koniki polne , komedia w 3 aktach A. Walewskiego	1 20
54. Reprezentant domu Müller i spółka , komedia w 1 akcie Wł. hr. Koziebrodzkiego	— 80
55. Werbel domowy , obrazek ludowy ze śpiewkami w 1 akcie J. K. Gregorowicza	— 80
56. W mamusi oczach , komedia w 1 akcie Rosena, w tłumaczeniu A. Walewskiego	— 80
57. Stryj przyjechał , komedia w 1 akcie Wł. hr. Koziebrodzkiego	— 80
58. Między nami nic nie było , komedia w 1 akcie A. Walewskiego	— 80
59. Nowa Francillon , kom. w 1 ak. A. Abrahamowicza i R. Ruskowskiego	— 80
60. Pupil Pupila , komedia w 1 akcie A. Abrahamowicza	— 80
61. Iskierka , komedia w 1 akcie Paillerona	— 70
62. Samson i Dalila , komedia w 1 akcie p. Em. Claara	— 70
63. Monologi , zeszyt czwarty	— 70
64. Wujaszek Alfonsa , komedia w 1 akcie St. Dobrzańskiego	— 70
65. Żołnierz królowej Madagaskaru , komedia w 3 ak. St. Dobrzańskiego	1 20
66. Pokój do wynajęcia , komedia w 1 ak. Popławskiego i Golańskiego	— 70
67. W Szczawnicy , komedia w 1 akcie R. Ruskowskiego — Pan i Pani , komedia w 1 akcie A. Dreyfusa	— 70
68. Albo niebo, albo piekło , komedia w 1 akcie L. Madejskiego	— 70
69. Zapraszam pułkownika , komedia w 1 akcie	— 70
70. Dyalogi estradowe , zeszyt I.	— 70
71. W starym piecu dyabeł pali , komedyjka w 1 akcie i Monolog zakochanej , Rapackiego	— 70
72. Uroki , komedyjka w 1 akcie przez Nagodę	— 80
73. Świeczka zgasła , komedia w 1 akcie Aleks. hr. Fredry	— 70
74. Nie mam czasu , komedia w 1 akcie Labiche'a	— 70
75. Jeden z nas musi się ożenić , komedia w 1 akcie	— 70
76. «Gogo» (Nie mów hop aż przeskoczysz) , komedia w 1 akcie hr. Bobrowskiego	— 70
77. I wierz tu kobietom , komedia w 1 akcie L. Mirgorodzkiego	— 70
78. Pociąg Nr. 12 , komedia w 1 akcie z francuskiego	— 70
79. Nr. 36 i 37 , komedia w 1 akcie z francuskiego	— 70
80. Monologi , zeszyt piąty	— 70
81. Na cel dobroczynny , komedia w 1 akcie, A. Walewskiego	— 80
82. Gruba partya , komedia w 1 akcie	— 80

Tenner Juliusz: ESTETYKA ŻYWEGO SŁOWA Cena Kor. 4.

83. Dla świętej ziemi , sztuka ludowa w 4 aktach przez Sewera	1 60
84. Farbiarze , komedia w 4 aktach A. Walewskiego	— 80
85. Poczwicz , komedia w 1 akcie Rojana	— 80
86. O. S. S. czyli wyprawa ślubna , komedia w 1 akcie	— 80
87. Dziewiczy wieczór , komedia w 1 akcie Gabryeli Zapolskiej	— 80
88. Ciężka próba , komedia w 1 akcie Piotra Bertona	— 80
89. Przejście Wenery, lekcya astronomii , komedia w 1 akcie Meilhaca i Halevy'ego	— 80
90. Monologi , zeszyt szósty	— 80
91. Niedźwiedź , komedia w 1 akcie Czechowa	— 80
92. Pobłaźliwy komisarz , komedia w 1 akcie Jerzego Courtelina i Juliusza Levy, przekład Maryi Finkłównej	— 80
93. Trzy kapelusze , komedia w 1 akcie z prol. Siraudin'a	— 80
94. Ostatnia kwadra , komedia w 1 akcie Edwarda Paillerona	— 80
95. Dobrodziej , obrazek dramatyczny w 1 akcie Bolesławicza	— 80
96. Chrapanie z rozkazu , komedia w 1 akcie tłóm. przez Mieczysława Chrzanowskiego	— 80
97. Och te sługi , obrazek scen. w 1 akcie Bolesławicza	— 80
98. Monologi , zeszyt siódmy	— 80
99. U tancerki , komedia w 1 akcie tłómaczona przez Mieczysława Chrzanowskiego	— 80
100. Słowiczek , komedyjka ze śpiewkami w 1 akcie naśladowana przez Władysława Belzę	— 80
101. Don Juan ukarany , komedia w 1 akcie przez E. F.	— 80
102. Protekcya , bluetka sceniczna w 1 akcie z francuskiego — Maksą Maureya tłómaczył H. Cepnik	— 80
103. Spokój domowy , komedia w 1 akcie Jerzego Courtelina, przekład Maryi Finkłównej	— 80
104. Pojedynek , komedia w 1 akcie Pawła Bilhaud, przekład Maryi Finkłównej	— 80
105. Tetmajer , kopia z natury w 1 odsłonie, Leopolda Suessera	— 80
106. Wyrozumiały komisarz , tragiczna krotchwila w 1 akcie Jerzego Courtelina	— 80
107. Małżeński spiszek czyli Wet za wet , komedia w 1 akcie, przeróbka z francuskiego przez Maryę Finkłównę	— 80
108. Ach to Zakopane! Krotchwila w 3 aktach Adolfa Walewskiego.	1 60

Biblioteczka teatralna dla dzieci i młodzieży.

1. Kolega z osłej ławki , komedyjka w 1 akcie przez Bolesławicza, w dodatku o sposobie urządzenia teatrów dla dzieci	— 50
2. Duch Hamleta , kom. w 1 akcie (dla chłopczyków) Emila Derynga	— 50
3. Plotecki , komedyjka w 1 akcie przez Bolesławicza	— 50
4. Kto kocha ten karci , z francuskiego przerobił Fr. Barański	— 50
5. Fraucymer Anny Jagiellonki , obrazek dram. ze śpiewkami, napisał Bolesławicz	— 50
6. Wesele lalki , komedia w 1 akcie Fr. Barańskiego	— 50

Bolesławicz: BELWEDER, dramat w 3 aktach. Cena Kor. 2.

Maskoff: W DĄBROWIE GÓRNICZEJ, dramat w 1 akcie. Cena hal. 80.

Tenner Juliusz: TECHNIKA ŻYWEGO SŁOWA z 20 rycinami w tekście
Cena Kor. 4.

BIBLIOTEKA UTWORÓW DRAMATYCZNYCH.

	K. h.
I. Björnson Björnstjerne. Laboremus. Tłum. Dr A. Wysocki	1 —
II. Heijermanns Herman. Nadzieja. Tłumaczył Jan Kasprowicz	1 50
III. Eurypides. Cyklop. Tłumaczył Jan Kasprowicz	— 50
IV. Grillparzer Fr. Biada klamecy. Tłumaczył Jan Kasprowicz	1 50
V. Maeterlinck Maurycy. Intruz. Tłumaczył Zygmunt Bytkowski	— 50
VI. Ibsen Henryk. Rycerze północy. Tłum. Dr A. Wysocki	1 20
VII. Marivaux. Igraszki trafu i miłości. Tłum. Z. Sarnecki	1 20
VIII. D'Annunzio. Sny pór roku. I. Sen poranku wiosennego. II. Sen wieczoru jesiennego. Tłum. Marion	1 20
IX. Maeterlinck Maurycy. Ślepcy. Tłum. Zygmunt Bytkowski	— 60
X. Bracco Robert. Pietro Caruso. Tłum. Jan Kasprowicz	— 60
XI. Kawecki Zygmunt. Dramat Kaliny. Trzy akty z prozy życia	1 20
XII. Maeterlinck Maurycy. Monna Vanna. Tłum. Z. Sarnecki	1 20
XIII. Gorkij M. Mieszczanie. Tłum. Adam Siedlecki	1 60
XIV. Najdjenow. Dzieci Waniuszyna. Tłum. H. Zbierzchowski	1 60
XV. Feldmann Wilhelm. Życie. Dramat	1 60
XVI. Wójcicka Zofia. Ewa	1 60

D'Annunzio. Franczeska z Rimini. Tragedya w 5 aktach. Przełożył Jan Kasprowicz	5 60
Czirikow. Żydzi. Dramat w 4 aktach	2 —
German. Więźnie. Widowisko (w druku)	—
Kisielewski. Sonata. Dramat	3 —
— W sieci. Komedya	4 —
— Ostatnie spotkanie. Komedya	3 60
— Karykatury. Komedya	3 60
Jan Kasprowicz. Uczta Herodyady. Poemat dram. w 3 aktach	5 —
Maeterlinck. Wnętrze. Tłumaczył Zygmunt Sarnecki	1 —
Przybyszewski St. Odwieczna baśń. Poemat dramatyczny	5 —
Wyspiański Stanisław. Wesele	3 —
Żuławski Jerzy. Eros i Psyche. Powieść sceniczna. Wyd. trzecie	4 —
— Donna Aluica	—
— Ijola. Wydanie drugie (w druku)	—
— Gra. Tryptyk sceniczny	2 —
— Wianek mirtowy	1 60

Chmielowski Piotr: DRAMAT POLSKI DOBY NAJNOWSZEJ. Cena Kor 3.